

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok X

Warszawa, dnia 5 lipca 1953 r.

Nr 27 (413)

ZDZISŁAW POLSAKIEWICZ

Z KTÓREJ WYRASTA SIŁA...

(Notatnik liryczny)

Budowniczym Nowej Huty

I.

To była ziemia klaszorna, a wieś miała nazwę Mogiła.
Zrobili ziemię ludową, z której wyrasta siła.

II.

Procesja szła z monstrancją, gdy ziemię mierzyli.
Ksiądz im przyklepnął kazał i modlił się zgasić
zapal serce, który niesił.

Lecz odszedł bezsilny.

Nie klękli. I Czyn ponieśli uparcie.

*

Był rok czterdziesty dziewiąty. Wiosna towarzysze.
Po latach te wspomnienia zbierałem od Siysza.

III.

Rano do pracy z namiotów szli ludzie z łopatami.
Zmarli leżąc na ziemi i ręce zsiadły od mrozu.
Niekiedy, idąc, długo dlonie rozcierał.
Ktoś jak tłący węgielek tytoń do ust włożył.
Lecz nie papieros i nie z rozgrzanych dloni
Płynęło ciepło.

Szli, bo nowy płomień
rozpalałaś w nich moja, nieśmiertelna Partio!

IV.

Ktoś cisnął kamień w okna partyjnej organizacji.
Ktoś mówił: „Uczniowie Stalina” i pięści zaciskał ziorzecząc.
Tamtemu odpowiedź dali pracą w Kombinacie.
Tej nazwie — żaden nie przeczył.

V.

Młody chłopak, co kochał piękną robotę i wiersze,
i o przyszłości roli marzenia najpiękniejsze,
w domu, który zbudował, przebity nożem legł.
„Bo komunistę zabić — zasługa, a nie grzech”.
Widziałem jego zdjęcie. Jeszcze dzieciak prawie.
A już po sobie, bracia, to miasto zostawił.

VI.

Pierwsze maszyny radzieckie nadeszły z nad szarej Wołgi.
Te dźwigi, kopaczki przypominały czołgi.
Jak tamte wróciły wolność — te dały wolności siłę
i rozkopaly do głębi chłopskiej krzywdy Mogiła.

VII.

Towarzysz mój wspomina: „Przyszli, aby odejść,
którzy szukali łózek, a znaleźli ziemię,
którzy szukali masła, kiedy stało chleba.
Przyszli, aby pracować tacy, których młodość
przywykła wyżej cenić trud, niż przyjemność,
Ci zostali, bo Partia im mówiła: trzeba”.

VIII.

Rozmawiałem z dziewczyną od krów, która ze służby uciekła.
Ręka jej czuła — w trybach maszyn nie błądzi.
Tłumaczyła, że jest jej, jakby umknęła z piekła.
Dźwig obsługuje i wie Kasia, że państwem rządzi.

IX.

Pierwsza tona surówki była depezą w jutro,
trudnej radości wyznaniem i zapowiedzią walki.
Tych, które przyjdą. Dla których nieulekli
pisali własnym życiem „Jak hartowała się stal”.

X.

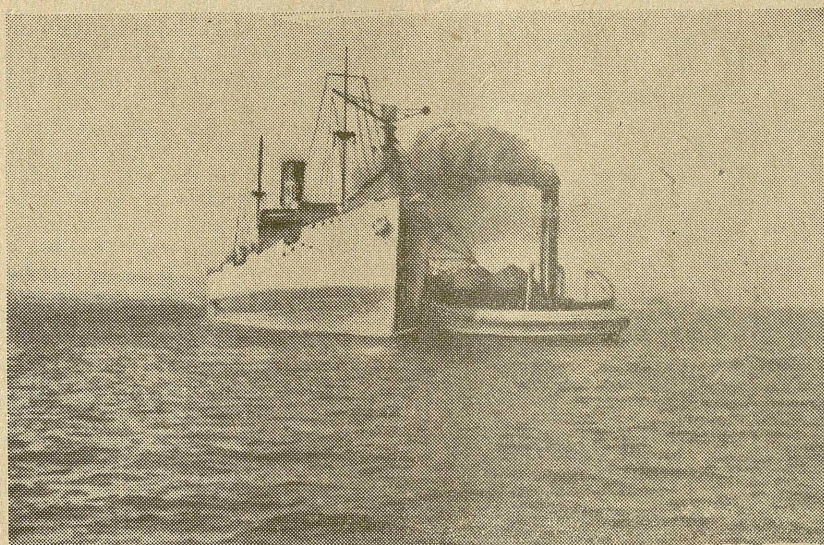
700 hektarów ziemi obrodziło domami,
niebo wysokie i czyste zasnuło się dymami.
Stary chłop stał na drodze, długo, co czuł, nie wyznał,
aż w końcu westchnął skruszony: Ma odmieniona ojczyzna...

XI.

Dziecko w przedszkolu nie starsze od miasta
razem z miastem w socjalizm wrasta.
Kiedyś po latach w hucie stal mu z rąk wytryśnie.
Na spust patrząc wiedzieć będzie, że żyje w komunizmie.

XII.

To była wieś klaszorna, a wieś miała nazwę Mogiła.
Zrobili ziemię ludową, z której wyrasta siła.



IRENA SCHEUR

DO OFENSYWY POLITYCZNO - WYCHOWAWCZEJ!

(List otwarty do aktywów gminy Gluchów)

DRODZY KOLEDZY

I TOWARZYSZE!

W ASZA gmina (w powiecie Skierniewice) leży na szlaku „handlowym” Łódź — Warszawa. Ten szlak zawył na procesie rozwarstwienia się wsi. Wyrastał tu kulak nie zakopany w morgach, wyrastał „przedsiebiorca” wykorzystujący wielkie rynki zbytu i charakter ich popytu. Ow przedsięwzięcia, jak to np. było w niedalekim od Was Godzianowie, przechwytywał dążenia biedoty do wykorzystania rezerw w ludziach i w surowcach, do współdzielenia handlu i wymiany. Powstały wszak przed wojną w Godzianowie młeczarnia, spółdzielnia spożywcza, betoniarńia. Ale w rezultacie okazało się, że dwóch kulałów i trzech inteligent zamienili te placówki społeczne na swoje przedsiębiorstwa. Ludowice, endeck i ożonowie podali sobie ręce. Jednego bowiem byli ducha w dziele wyzyskiwania mas chłopskich pod szyldem „działaczy”.

Jakieżże maści był największy wśród nich potentat-ludowiec? „Piastowiec”, który powołał się na imię Witosa, kiedy na liście hasel, jakie stawiał Front Ludowy (uwoleń z więzień i zesłania działaczy politycznych) widniało również i Witosa nazwisko, kumał się z endeckami i sanacją. „Piastowiec” czytany, który zwalczał „stamowców”, wiciowy ruch młodzieży biedniackiej, ostatecznie podporządkował go sobie tumaniając hasłem agraryzmu — tym, co w ten ruch wbił zdradziecki klin, rozrywając ideę i realizację rewolucyjnego sojuszu chłopsko-robotniczego.

Dlaczego o tym wspominać? Bo z takiej przeszłości weszła w nowe dzieje Wasza gmina Gluchów. W Gluchowie działał Uniwersytet Ludowy. Przed wojną pod sanacyjnym patronatem, po wojnie pod dużym wpływem reakcyjnej, mikołajczykowskiej frondy. Przed wojną średnie szkoły ukończyło 50 osób. Duża to liczba na przedwojennym warunkach wiejskich. Ten kapitał wiedzy ogólnej stał się wyposażeniem „działaczy-przedsiębiorców” dla wychowawania politycznego, chłopów, tzn. ugruntowywania reakcyjnych wpływów, tumanienia wsi, ludzenia awansem kapitalistycznym. Sprzyjał temu ów szlak handlowy wielkich rynków. Średniacy szli za wzorem kulałów. Gospodarstwa modernizowali, nastawiali na hodowlę, sadownictwo i warzywnictwo.

Faktem jest, że po 9 latach Polski Ludowej jeden tylko Godzianów nad granicą Waszej gminy ma spółdzielnię produkcyjną. Wczesny zryw biedniaków (r. 1949) opasał mur średniackich gospodarstw i ani tam, ani w dziesięciu Waszych wsiach jeszcze nie kruszeje. W jedenaście powstała pierwsza spółdzielnia, i gdzie? W jedynej piaszczystej części gminy, a zorganizowana prawie wyłącznie przez biedotę.

*

Jakże wymowny, niekiedy nawet wstrząsający przykład ostrej walki klasowej w Gluchowie i okolicy dają dzieje znanego korespondenta „Zielonego Sztandaru”, „Chłopskiej Drogi” i „Głosu Robotniczego”, Wacława Wilczaka.

Ten 56-letni chłop, który jak powiada, chciałby mieć dziś lat 30, rozpoczął swoją pracę w okresie, kiedy w samym Gluchowie PSL liczył przeszło 100 członków i był najsilniejszym ugrupowaniem politycznym. Już w 1947 roku zdemaskował Wilczaka PSL-owskiego wójta za nie-

sprawiedliwe rozkładanie podatków. Wójt mikołajczykowy wiedział co robi; podatki miała zapłacić biedota. W następnym roku Wilczak zaatakował spekulantów, handlarzy i GS, podnosząc urzędowe ceny do paskarskich. W następnym walcząc przeciwko nadużyciom w skupie zboża. I na tym odcinku główne ciężary spaść miały na barki biedoty.

Aktywiści gluchowscy, wiem, że niechętnie i ze wstydem o tych sprawach mówicie. Jest bo czego się wstydzić! Wilczak walcząc wszak samotnie zanim Wy weszliście na czołowe pozycje walki. Starczy już, siwy i spracowany chłop opowiadał mi jak to był sanacyjny policjant odradzał mu należeć do ZSL i proponował wstąpienie do któregoś z bractw kościelnych; pokazywał mi Wilczak anonimów. Wiadomo także, iż przegrał proces wytoczony mu przez niezwykle zreżną klikę gluchowską, znajdującą oparcie nawet w powiecie. Dzisiaj ten zrewidowany proces należy już do przeszłości, ale wcale jeszcze nie przebrzmiał, gdyż wróg działa nadal.

W ogniu walki wyrósł Wilczak nie tylko na bojowego, bezkompromisowego korespondenta, ale i wzorowego gospodarza. W ubiegłym roku wykonał swój plan skupu w przeszło 200 procentach; zamiast 3 tuczników odsprzedał państwu 5 obłąrzymów.

Niestrudzony korespondent reprezentuje postępowy typ gluchowskiego średniaka. I to, że nie znosi podłości, fałszu i wyzysku jedna mu serca innych. Kiedy stało się jasne, że klika zgrupowana w GRN i GS użyła oszczerczych argumentów przeciwko Wilczakowi na procesie w Skierniewicach, kiedy chłopci sami umyślowili sobie, że ich od wielu lat oszukiwano, stary korespondent zyskał sobie wielu sympatyków. Nie była to, rzecz prosta, sympatia tylko osobista. W niej się wyraziły zachodzące przeobrażenia w świadomości średniaków. Od roku 1951, roku procesu, gmina znacznie usprawniła wykonywanie obowiązków wobec państwa.

*

W tej ostrej walce klasowej trzeba widzieć wyraźnie obie strony. Kiedy mowa o wrogu — o co on zabiega? Wy powiadacie: kulałów w całej gminie 20. Pominijmy pytanie, ilu zdążyło w ubiegłych latach, kiedy Gminną Radę oni właśnie obsiedli, ilu z nich zdążyło się pomniejszyć, rozpisując gospodarstwa? Ilu z nich działa wobec tego pod owczą skórą średniaka i wśród średniaków — właśnie bez dystansu klasowego.

Zostaliśmy przy pytaniu o taktykę wroga na tym etapie. Jest 11 świetlic w Waszej gminie. Pędzą żywot anemiczny. Biblioteka gminna zawiera 2300 tomów, czytelników 522 na 8000 mieszkańców. Czyta co 16-ty. I kto czyta? Młodzież, bo i szkół jest 11. Czy tak źle jest z kulturą? Nie! Żle jest z jej organizacją i techniczną i polityczną. Sprawdzicie na pocztce, a dowiecie się, że miesięcznie przychodzi do chłopów na dom 200 książek.

O co idzie wrogowi? O zamykanie średniaków na ich gospodarce. O izolację społeczną. U siebie, dla siebie, ze sobą! To jego hasło. A droga do uspołecznienia w produkcji wiedzie przez uspołecznienie w kulturze, przez ożywienie masowego, zbiorowego ruchu kulturalnego, w którym wytwarza się jawna opinia publiczna. Wróg walczy o u-

trzymanie opinii sąsiedzkiej, wędrującej pantoflową pocztą znad plotu.

W tym półcieniu ważył się jeszcze jak ostatnio na przemycanie plotki, że jeśli we Włoszech wybory wygra de Gasperi, to i we Francji stulą uszy komuniści, a wówczas...

Taką plotkę można było wypaść w Waszej gminie na kilka dni przed wyborami we Włoszech. Ocenicie bezczelność tej plotki, kiedy dobrze było wiadomo, jak silne są wpływy Komunistycznej Partii Włoch, jakiego stracha nadchodzące wybory napędzały chadecji de Gasperiego i Amerykanom. Ocenicie, jak desperackiej chwycił się wróg argumentacji. Następnie bowiem dni w nieważce obrócił kłamstwo.

Ale w sąsiedzkiej pocztce „wygrał przegrany”, właśnie „przegrał” mniej-ponosi straty. W pełni bowiem skompromitować może wroga dopiero cios zadany mu publicznie tam wszędzie, gdzie gromada skupia się w życiu zbiorowym. I to publicznie, społecznie i kulturalnie życie trzeba ze wszelkich sił budować i umacniać.

*

Jaką siłę przedstawia w gminie Gluchów front rewolucji? Przedstawia siłę o wiele większą niż sobie z tego zdajeć sprawę Wy, koledzy działacze, którzy na tym froncie do-wodzicie. I na tym polega Wasz błąd.

Kiedy pytałem o czytelnictwo: dlaczego słabe, kiedy pytałem o świetlice: dlaczego martwe, prezes ZSCH rozkładał ręce: — widzicie, jacy tu chłopci... Referent Cusiku tłumaczył: — Po uszy siedzą w gospodarce, gdzie im do wysiadowania nad książkami! A sekretarz GRN pocieszył mnie: — książka jak książka, ale z dostawami u nas coraz lepiej!

Dobre wiecie, że nie o książkę mi szło i jeśli ona ma tu być symbolem całego ruchu kulturalno-gospodarczego, symbolem pogłębianego zbiorowego życia politycznego, to przecież nie umacniacie się na pozycjach, które stanowią dla tego życia potężny fundament.

Macie wszak w Waszej gminie zelektryfikowane w Polsce Ludowej cztery gromady, sześć całkowicie zradiofonizowanych, wybudowaną Ośrodek Zdrowia, jest apteka, gabinet dentystyczny, 3 dobre przedszkola, 11 szkół, 11 bibliotek, 11 świetlic, przyjeżdża kino. To są osiągnięcia, którymi trzeba się szczycić, które trzeba chłopom uświadamiać. To są pozycje, z których należy prowadzić szturm w każdej gromadzie.

Przed wojną 50 osób z Waszej gminy zdobyło maturę. Zdobyło ją młodsze pokolenie kulałów, spekulantów i różnych wodzirejów jako broń, którą obrócili podczas okupacji i po wojnie przeciw biedocie i przeciw średniakom do wywołania zamętu w głowach, dla hamowania rewolucji. Ale przecież po wojnie uczy się w szkołach średnich zawodowych i ogólnokształcących 740 osób z Waszej gminy! Jaka to potężna armia! 28 jest już na studiach wyższych, dwóch nawet studiuje w Związku Radzieckim.

Taką to treść w Waszej gminie ma symbol książki. Któż zatem, jak nie Wy, powinniście owe strumyczki z gromad i zagrod w jedną rzekę połączyć i ten wielki nurt oczom chłopom pokazać? Jednorodny to proces 800 kształcących się chłopów i rozwój spółdzielni produkcyjnych, rozwój socjalizmu na wsi. Nie

psim swędem, nie boczkim, nie prywatnie z chałupy i nie z nieba ta masowa szansa, ale za sprawą władzy robotniczo-chłopskiej, za sprawą wielkiego budownictwa socjalizmu, do którego prowadzi naród, partia i klasa robotnicza.

Koledzy-działacze! Nie na rozważaniach chce poprzestać, choć one już dają bodziec do mobilizacji. Idźcie mi o samą mobilizację na obecnym etapie, w obecnej chwili.

Macie wielkie szanse i wszelkie szanse do pokonania wroga w jego walce o izolację społeczną chłopów, o zakopanie średniaka w gospodarstwie i domu. Nie można przecież tak wielkiej armii studiującej młodzieży uważać za armię tylko szkolną w zakładach naukowych w mieście, tylko tam czynną. Nadchodzą wakacje. Ta armia wróci do waszej gminy. 800 młodzieży! Trzeba dla niej stworzyć plan działania. Trzeba ją uruchomić w świetlicach, bibliotekach i domach rodzinnych. Wchodzimy w okres żniw, zbliżamy się do święta narodowego, w którym myśli całego narodu odmierza już osiągnięte przemiany i kierować się będą w przyszłość wspaniałą naszą ojczyzną.

Okres żniwny łączy się ściśle z zadaniem zbytu produktów rolnych, łączy się z jesienią, w której najpóźniej podejmować decyzje o nowym sposobie życia i gospodarki. Ten okres nie powinien być przez Was zmarnowany. Nie wolno zamknąć go w granicach ciasnego praktycznego administracyjno-gospodarczego, kiedy może i powinien on stać się okresem wielkiej ofensywy kulturalno-politycznej.

W najśmielszych marzeniach zarządu powiatowego ZSCH liczone w tym roku na 150 chłopów w gminie Gluchów jako członków zespołów doświadczalnych. A liczą one 690 chłopów (głównie w dziedzinie hodowli). Produkcja gromada Białych wezwała tej wiosny wszystkie inne do współzawodnictwa w akcji przygotowawczej do żniw. Tego parcia chłopów do większych wyników produkcji, tego patriotycznego gospodarczego aktyw w nie powinien przeczyć, skazując go na żywiołowy rozwój. To wielka siła, która podrosła w izolowanych przez wno-ga domach i trzeba jej pomóc w rozsadzeniu starych skorup. A droga jedna. Trzeba uświadomić chłopom ich postępowe parcie. Trzeba podnieść je i pogłębić. W bitwie o żniwa trzeba widzieć nie tylko pole walki, ale również i biwaki. W świetlicach i na zebraniach niech dojdą do głosu produkujący doświadczalnicy. W jedenastu świetlicach trzeba aby się pojawili świetni gospodarze-robotnicy z PGR Prusy. Gospodarzom średniakom będą mieli o czym powiedzieć:

	PGR	indywidualni
pszenica	30 q	18 q
owies	30 q	16 q
żyto	23 q	14 q

Te liczby mają wymowę. W PGR Prusy wyrażają przeciętną, a indywidualnych górą granicę. Jeszcze większą wymowę będą miały wyjaśnienia, ukazujące co rozstrzyga tu o różnicy.

Macie więc koledzy-działacze sposobną porę, doskonałe warunki i wielką siłę argumentacji aby wygrać bitwę polityczną z wrogiem o zdobycie średniaka, zdobycie go do spółdzielni produkcyjnej.

Irena Scheur

BRONISŁAW GOŁĘBOWSKI

POWIEŚĆ O BUDOWIE KANAŁU DUNAJ-MORZE CZARNE

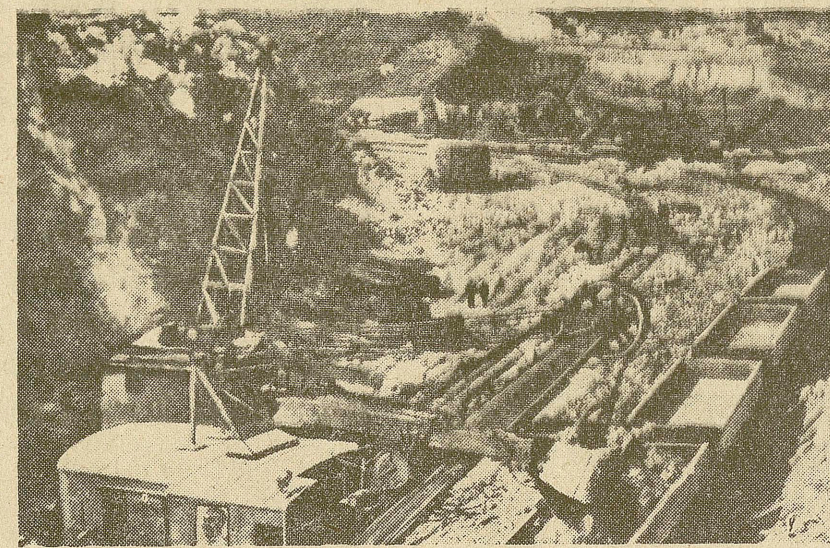
„Uchwalono przystąpić do robót wstępnych, związanych z budową kanału Dunaj — Morze Czarne” — pisały „Dzienniki” w maju 1949 r. komentując postanowienia Biura Politycznego KC Rumuńskiej Partii Robotniczej i Rady Ministrów. W połowie lipca stępy Dobrudży zaludniły się budowniczymi. Było to w roku pierwszym w Rumunii jednorocznego planu państwowego. Nie było jeszcze dostatecznej ilości kadr technicznych, ani warunków gospodarczych po temu, aby opracować plan na dłuższy okres. Zasadniczym celem planu r. 1949 było ugrontowanie niezawisłości narodowej, gospodarczej i politycznej Republiki oraz stworzenie przesłanek do budowy socjalizmu w pierwszym rzędzie drogą rozwoju przemysłu ciężkiego. 75 proc. ludności Rumunii w r. 1948 to byli mieszkańcy wsi. Wróg, a szczególnie kulak i spekulant, był jeszcze silny. Rumunia przeżywała ten decydujący moment pełen napięcia walki z wrogiem, kiedy nie zostało jeszcze rozstrzygnięte pytanie: „Kto — kogo?”. „Kto” po pierwszej poważnej klęsce, obaleniu wyzyskiwacza, który nie spodziewał się swego obalenia, nie wierzył w nie, nie dopuścił myśli o nim, rzucając się w bój z udzieleniem okrotną energią, z wściekłą pasją, że stokrotnie wzmożoną nienawiścią, w bój o przywrócenie utraconego raju” (Lenin). O obraz tego przełomowego w życiu narodu rumuńskiego momentu znajdujemy w powieści Petru Dumitriu pt. „Droga bez kurzu”, która została nagrodzona w r. 1952 Nagrodą Państwową I stopnia. Petru Dumitriu zadebiutował po wojnie w roku 1944 opowiadaniem z życia wsi zjednując sobie uznanie i poczynności. Po rozpoczęciu budowy kanału Dumitriu osobiście pracował wiele miesięcy na budowie poznając jej problemy, ludzi, heroizm i entuzjazm kolektywu. Z tych bezpośrednich obserwacji powstała powieść zakrojona na miarę eposu dającego się najlepiej porównać z „Daleko od Moskwy” Ałajewa.

Problematyka budowy prowadzonej w ostrej walce z wrogiem stanowi podstawową treść powieści.

Autor opisuje co prawda jedynie wstępne prace kilku miesięcy do końca 1949 r. Ale czytelnik jest przekonany, że kanał zostanie zbudowany w terminie, że wróg zostanie pokonany. Przekonanie to rodzi się dzięki temu, że ludzie, których pokazał Dumitriu, pokonują trudności wstępnych prac, gderają i niemal bezkarna. Ich zwycięstwo na tym początkowym etapie daje naj-

lepszą gwarancję doprowadzenia dzieła do końca. Prolog i cztery księgi powieści przeprowadzają nas przez kolejne etapy walki klasowej na budowie, przeobrażenia świadomości i cementowania się kolektywu robotniczego i partyjnego.

W prologu stoją twarzą w twarz przybyli na niegościnną pustynię główni antagoniści: Mafiej, Pangra, Mateika. Te postaci to trzy postawy, trzy środowiska: robotnicze — komunistyczne, inteligentne — z ludźmi antypolitycznymi i wrogie, dywersyjne — obszarne — faszystowskie. A inni? „Większość to bezpartyjni, przyzwyczajeni do metod prywatnego przedsiębiorcy, do nędznego życia, do pracy pod przymusem, do



tego, że pogardza się nimi... Tkwi w nich jeszcze dawna choroba: rezygnacja, brak odwagi i inicjatywy”.

W księdze pierwszej poznajemy środowisko tych ludzi i powody, dla których przybyli na budowę. Przeglądają się tu na budowie losy ludzi o różnych charakterach, różnej przeszłości, różnych nawykach. Dumitriu ukazuje zresztą i podstępą działalność wroga, podczas gdy niechętni komunistom są jeszcze zdezorientowani, nie stworzyli sobie jeszcze właściwych metod pracy w nowych trudnych warunkach.

W drugiej księdze zagadnienie wyniku walki jest sprawą otwartą. Autor przedstawia okres zamętu i czasowych triumfów wroga. Frenkel, biurokrata, kierownik administracji, paraliżuje wszelką pracę marnotrawiąc materiały i siły ludzkie. Popescu po złośliwej oblicza normy i fałszuje listę płacy. Lupescu jako kierownik stołówki wraz z kucharką Smorandocze głodzą robotników i kradną, ile się da. Organizacja partyjna wykazuje pewną opieszałość. Nie troszczy się dostatecznie

o ludzi. Gheorgiu Dej podczas odwiedziny na budowie wytknął to towarzyszy.

Zlikwidowanie większej części bandy Mateiki i aktywizacja organizacji partyjnej staje się w księdze trzeciej podstawą do ograniczania wpływu wrogich elementów na robotników. Zaczyna się tworzyć kolektywy. Chłopi — biedniacy, jak Achim, Chirsan, Miklut, Gelat, stają do współzawodnictwa, przełamują wiele oporów wewnętrznych i niechęci. Ale z podnoszeniem się produkcji i stopy życiowej robotników nie szło jeszcze dostatecznie uświadamienie robotników. Wróg był rozbity, ale nie dobity. Perfidny sabotaż na terenie elektrowni zmusza znów organizację partyjną i robotni-

ków do wysunięcia wniosków: „Wychować zespół, który wiedziałby, do czego ma służyć każdy gwóźdź, każdy kawałek żelaza, każdy metr sześcienny betonu”. — Tak! wniosek wysuwa partyjny inż. Jurascu, członek egzekutywy. A. Mitika Rusu, sekretarz organizacji partyjnej, mówi: „Ludzie będą się cieszyć z całego serca, kiedy dowiedzą się, jakie są plany. Bo dotychczas to było tak: błądziliśmy, niby ślepy”. I wtedy zobaczyliśmy, ile trafnych pomysłów wyjdzie od robotników”.

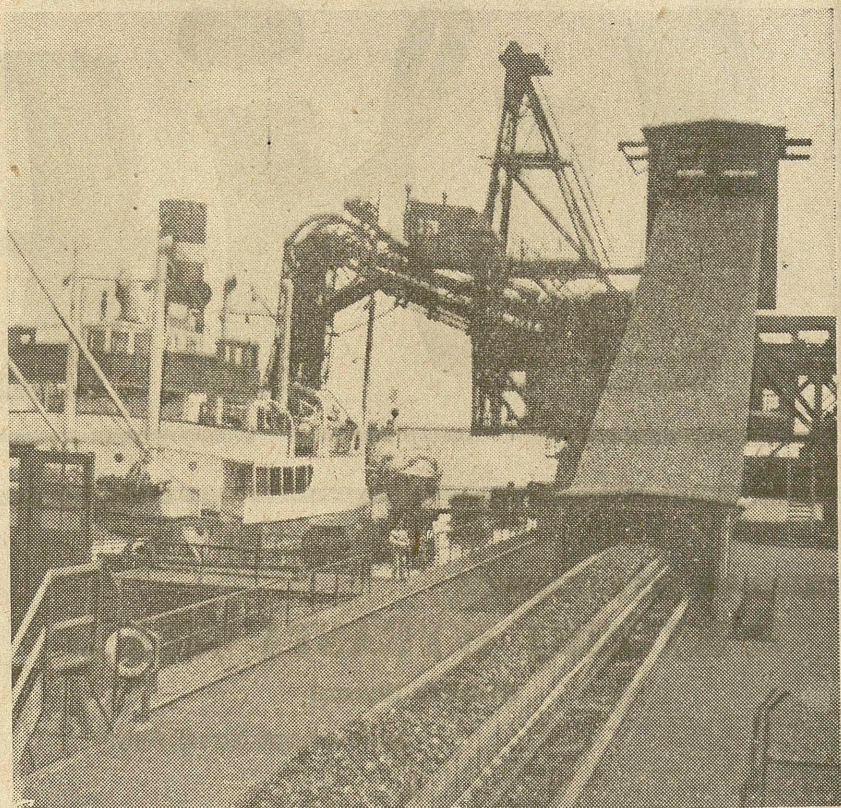
Takie słuszne stanowisko wkrótce dało dobre rezultaty. Został zwolniony cichy sprzymierzeniec sabotażystów, nieudolny kierownik budowy, inż. Anghelescu. Nowy kierownik Zamasan szybko wprowadził porządek i dyscyplinę, zachęcił do oszczędności i stosowania pracy według metod radzieckich. Sam osobiście pokazał je robotnikom. Wkrótce posypały się projekty racjonalizatorskie i zwiększała się wydajność pracy.

Ostatni wściekły atak wroga w księdze czwartej zostaje już szybko i zdecydowanie odparty. Wróg przy pomocy kulakstwa wykorzystując wywołane przez niesprawiedliwe obliczenie zarobków niezadowolenie starał się spowodować masową ucieczkę robotników z budowy. Partia i robotnicy na wszystkich budowlach likwidują dywersantów. Ujęty został ich główny szef i dyspozytor, stary arystokrata i faszysta, Caraman Mateika, pod gradem zarzutów i oskarżeń demaskuje się i zostaje zaareztowany. W kierownictwie budowy zwycięża myśl inż. Pangratiego, wzięta z doświadczeń radzieckich i poparta przez robotników, aby kontynuować wykopy zimą. Nowe maszyny radzieckie, koparki, buldożery, transportery w coraz większej liczbie napływają na teren budowy.

Petru Dumitriu potrafi pokazać patos budowy i entuzjazm robotników przez codienne fakty nie odarte z powszedniości, szarzyzny, pomyłek i niepowodzeń. Ukazuje nie tylko jednostki, ale poprzez indywidualizowane postaci cały kolektyw budowniczych, bohatera — zbiorowość, a postaci czołowe pokazuje właśnie na tle tej zbiorowości. „Życie nasze jest jak fragment wielkiego obrazu — mówi prof. Serafimow, główny projektodawca kanału, uczonej radziecki. — Jeżeli patrzeć nań w oderwaniu od całości, nie rozumie się nie: jakie kolory, plamy bez sensu”. Postaci czołowe będące motorem akcji zarówno pozytywne jak i wrogie działają poprzez kolektywy.

Do szeregow klasy robotniczej dochodzą chłopci-biedniacy: Chirsan, Miklut, Gelat. Ich wspólną cechą jest nienawiść do kulaków, pragnienie nowego, uczelnego życia, pracowitość i upór. Podejmują oni współzawodnictwo i wielokrotnie demaskują wroga robotów kulaków: Sulimana, Ceardara, Mateja. Długo jednak nie wyzwalają się ze starych nawyków. Gelat, Tatar, nie chce oddać koni do stajni, bo boi się o nie, nie chce iść spać do baraków, nie chce puścić od siebie córki do baraków młodzieńców i nie pozwala jej wyjść za mąż za „chrześcijanina” — Rumuna. Przełamuje te opory, zaprzysiężnia się z Rumunami i staje się ich nieodłącznym towarzyszem. Na budowie kształtuje się też nowa, ludowa inteligencja. Inż. Pangraty porwany patosem wielkiej budowy, odważny i gotów na ciężką, trudną pracę, nie chce się zajmować polityką i walką klasową. Ale właśnie w niego uderza wróg, o niego walczą. Sabotaż na budowie elektrowni i dwunastym wypowiedzi Mateiki dają mu wiele do myślenia. Opuszczony przez ukochaną kobietę, arystokratkę Done, która wolała rzucić się w ramiona Mateiki, „bohatera walki przeciw

(Dokończenie na str. 7)



KAZIMIERA BIELSKA

WRAKI WYDOBYTE Z DNA MORZA

Czytając „Wraki” Meissnera odczuwa się wrażenie, że książka powstała przede wszystkim po to, by zapoznać szerokie rzesze czytelników z pracą nurków, by ukazać jej porywający mmo wszystkich trudności i niebezpieczeństw romantyzm. Jeżeli tak jest, to zadanie swoje spełnia „Wraki” dobrze. Po pierwsze: z powieści można się wiele nauczyć o warunkach i metodach pracy podwodnej, tak wiele, że zamieszczony pod koniec książki szkic popularnonaukowy stanowi już raczej podsumowanie i uporządkowanie wcześniej zdobytych wiadomości. Po drugie: nigdzie nie przekształca się ona w nudny podręcznik, przedmiot — o pisany pracy pod wodą i na powierzchni należą do najlepszych partii książki. Po trzecie: wszystko to wplecione jest w bardzo dobrze zbudowaną fabułę, fabułę sensacyjną, trzymającą czytelnika w napięciu. Autor rozporządza wieloma postaciami, ostro kontrastującymi ze sobą, co ułatwia przeprowadzanie coraz to nowych spieć.

Krzywdą dla autora byłoby jednak ocenie jego książki jako swego rodzaju zbeletryzowanego podręcznika. Meissner pisze o ludziach, o ich wspaniałej, trudnej pracy. Ciekawość, oryginalność „Wraków” polega przede wszystkim na bogactwie, wszechstronności, choć nie pozbawionym błędów ukazaniu środowiska ekip ratowniczych.

Jak przedstawia się to środowisko? Uderza przede wszystkim bardzo trafna indywidualizacja postaci. Meissner kilkoma zdecydowanymi pociągami rysuje sylwetki żywe i charakterystyczne. Zwraca przy tym uwagę wielką swobodą i rozmaitością środków: Orbacha charakteryzuje znakomicie zachowanie się w czasie głośniejszego śmiechu wypadku, Wachla demaskują przytoczone zresztą jego własne myśli i doskonały komentarz autorski. Habbę widzimy jak na dłoni już w czasie rozmowy w pociągu, prawa i subtelna natura Grabienia znajduje potwierdzenie w jego stosunku do rybaka — Barnata.

Czy jednak w tej rozmaitości ludzkich indywidualności i światopoglądów nie zagubiło się to, co najważniejsze — społeczna typowość postaci? Wydaje się, że na ogół nie. Typowa jest zarówno postać bezgranicznie oddanego pracy inż. Jakusa, jak zorientowanego na drobniomieszkański styl życia, drobniomieszkańskie ideały, życiowe — Wachla, typowe są sylwetki, Orbacha, Palamarza, Grabienia.

To wszystko pozwoliło autorowi osiągnąć cel najważniejszy: ukazać siłę ofiarnego kolektywu, piękno wspólnej wytyczonej pracy. We „Wrakach” widzimy jasno, jak trudne, niewykonalne zadanie mobilizuje wszystko, co dobre w człowieku, jak pełna oddania praca wyzwala w ludziach najlepsze strony ich charakteru, pozwala dojrzewać i rozwijać się w nich temu, co nowe, skierowane w przyszłość. Na pewno nie jest przypadkiem, że właśnie w opisie dni wydobywania n-ś „Adarnest” najwyższych barw nabiera sprawa Barnata, że sposób ukazania jego przemian znacznie się pogłębia. Bo w ten sposób realizuje się zasadnicza myśl utworu: właśnie w procesie wspólnej pracy, wobec wielkich mobilizujących zadań dojrzewa świadomość robotników.

Odstępstwo od realistycznej typowości jest we „Wrakach” jedno, ale o ciężar gatunkowy bardzo poważnym. Chodzi tu o Czelusniaka. Jest to postać książki najbardziej chyba irytująca, budząca zasadnicze sprzeciw. W intencji autora leżało, zdaje się, takie ukazanie charakteru tego starego działacza partyjnego, aby przy całej jego uczciwości, bezkompromisowości i — w gruncie rzeczy — dobroci, zaznaczyć jako zasadniczą wadę nieumiejętność postępowania z ludźmi, wypływającą z braku wiary w człowieka, z braku zaufania do czyjejś dobrej woli, z wietrzenia w każdym wroga. W realizacji niestety sprawa przedstawia się niejasno: ten jedyny miarodajny przedstawiciel partii w powieści wy-

padł bardzo nieprzekonywająco, nie zawsze rozumiemy przyczyny jego błędów, skłonni jesteśmy traktować jego działalność jako szkodliwą. Łączy się to chyba z faktem, iż Czelusniaka widzimy zawsze przez pryzmat jego stosunku do Barnata, jeszcze częściej Józefa do niego, dopiero pod koniec książki poznajemy starego nka takim, jakim był w rzeczywistości.

Łączy się to z największą wadą książki: we „Wrakach” bardzo słabo, nieprzekonywająco rozwiązana jest sprawa roli partii i pracy politycznej wśród załogi. Słuszna skądinąd myśl, że praca jest głównym środkiem wychowawczym, zdaje się przesłaniać autorowi fakt, że w naszym kraju jedną z głównych dźwigni podnoszenia wydajności i jakości produkcji jest: stała, systematyczna praca wychowawczo-uświadamiająca partii, ZMP, organizacji masowych.

Wielką zaletą książki są doskonałe opisy pracy. Wystarczy przypomnieć scenę ratowania Grabienia przy zastosowaniu wynalazku Palamarza. Widac tu wyraźnie wszystkie zalety meissnerowskiego opisu. A więc wielka dynamizmność, duże napięcie, zawrotne tempo. I jednocześnie nie każdy taki opis pełni w akcji określone funkcje — odsłania nowy rys psychiki bohatera, posuwa akcję naprzód. Te charakterystykę rozciągnąć trzeba także na opisy morza. Poznajemy je w czasie sztormu i w czasie ciszy, w dzień pochmurny i przy pełnym blasku słońca. Lecz szczególnie wstrząsające są opisy burz: morze przybiera w nich cechy groźnej, nienawistnej, żywej potęgi, wobec której człowiek wydaje się bezbronna, słaba istota. Na tym tle szczególnie wymowny nabiera wielkie zwycięstwo załogi „Posejdon”.

Partie poświęcone pracy przy wydobywaniu wraku należą więc do najmocniejszych kart powieści. Niestety Meissner nie zdołał stworzyć konsekwentnie przemysłowego tła dla centralnego zagadnienia. Niedobraconiom koncepcyjnym towarzyszą poważne usterki w przeprowadzeniu poszczególnych wątków, w kompozycji, ba, nawet w warstwie stylowej utworu.

Rozpatrzmy tu choćby sprawę zasadniczego wątku miłosnego: Teresa — Barnat, a następnie „trójkąta”: Teresa, Barnat, Grabień. Od samego początku dzieje się bardzo źle: płytko, powierzchownie potraktowana jest sprawa obudzenia się miłości Teresy, o tej miłości pisze autor w dodatku stylem zupełnie nieznośnym. Jest tam wszystko z rekwizytami trzeciorzędnych romanseid — nawet „serce roztrzępote w piersi jak ptak”. W dalszych częściach jest już inaczej, sprawy przybierają poważny obrót i autor wykazuje dużo pomysowości i taktu w rozwiązywaniu tego problemu. Cóż, kiedy jednocześnie budzi się ciągle w czytelniku natrętna, a na pewno przez autora nie zamierzona skojarzenie z „konfliktem uczucia i obowiązku”. Cóż, kiedy — jak to słusznie zauważyła pewna recenzentka — otacza naszą heroinę „aura właściwa „szlachetnym” bohaterom Rodziwiczówny”. Wydaje się, że te niewątpliwie wypaczenia ciekawie skądinąd zarysowanego wątku mają swą przyczynę w zastępowaniu żywej, bezpośrednio zaobserwowanej prawdy „psychologicznej wzorami nie zawsze najlepszej literatury.

Podsumujmy nasze rozważania. „Wraki” są pozycją wartościową przede wszystkim jako żywy obraz ciekawego środowiska i trudnej pracy nurków. Czy jednak tak „analizycznie” sformułowana problematyka książki zakłada brak w niej wartości ogólnych, światopoglądowych? Nie podobno! Bowiem każdy ciekawy, porywający obraz pracy kolektywnej nosi w naszej współczesności znamie tego, co ważne, ogólne, zawiera największą prawdę czasu — prawdę zbiorowego wysiłku, „troskliwość robotniczej o wspólne”.

Kazimiera Bielska

Janusz Meissner „Wraki”. W-wa, Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, 1953 r., 419 str. — cena 16 zł.

ZBIGNIEW SWITALSKI

DROGA MIKOŁAJA CIOBANU

450 tysięcy ludzi pracy zorganizowanych w 12 tys. zespołów zajmujących się w Rumuńskiej Republice Ludowej twórczością artystyczno-amatorską. Niedawno odbyły się w Bukareszcie finały III Ogólnokrajowego Konkursu Zespołów Artystycznych Zw. Zawodowych przed IV Festiwalem Młodzieży i Studentów.

W konkursie wzięło udział 1450 chorów, 1500 zespołów tanecznych, 600 orkiestr i zespołów instrumentalnych łączących łącznie 130 tysięcy artystów — amatorów. Pierwsze miejsce w kategorii chorów zajął zespół Uniwersytetu Bukareszteńskiego im. I. C. Parhona, dyrygentem którego jest 23-letni Mikołaj Ciobanu. W finale był on najmłodszym dyrygentem, co już wiele mówi o jego nieprzeciętnym talencie. Jako 10-letni chłopiec zaczął wędrować po służbach u kulaków, a jeszcze w 1948 r., ostatnim roku istnienia monarchii Hohenzollernów, pracował jako parobek u dziedzica. Z tych czasów jako symbol drogi, którą przebył, zachował pewien osobliwy przedmiot. Przechowuje go troskliwie i czasem w przystępie dobrego humoru pokazuje kolegom i gościom.

Ten osobliwy przedmiot to niezgrabnie zbite z deszczulek pudełko z kilkoma porwanymi strunami. Trzeba mieć nie lada imaginację, by móc je traktować jako skrzypce. A jednak przedmiot ten, z trudem wystrugany z kawałka drewna, stanowi skarb dla Ciobanu. Wystrugał go sam, ponieważ nie widział nigdzie pomocy w ustrój, w którym człowiek pracy był niczym, a majątek i urodzenie wszystkim.

Nęda i ucisk chłopów rumuńskich był tak nieznośny, że w 1907 roku idąc za przykładem swoich braci rosyjskich rozpoczęli oni powstanie. Rząd utopił rewolucję w potokach krwi.

Mimo krwawego terrorku walka nie ustawała, ale wzmagała się z każdym rokiem.

Walka robotników i chłopów toczyła się też i o prawo do awansu dla wiejskiego parobka, o prawo do rozwoju talentu tego rumuńskiego „Janka Muzykanta”. Toteż jego sztuka od początku służyła tej walce i tworzącej pracę mas ludowych budujących podstawy socjalizmu. Ciobanu pamięta dobrze pierwszy występ, gdy zespół dawał przedstawienie dla robotników

metalowców fabryki Kalan w Siermiogrodzie. Jeszcze dziś będąc laureatem I nagrody i kawalerem „Orderu Pracy” wspomina on ze wzruszeniem swoje podniecenie przed pierwszym występem i burzliwe brawa, którymi widownia robotnicza uznała go za samodzielnego artystę. Ciobanu jest jednym z wielu ludowych talentów ujawnionych w ludowej Rumunii. Wyzwolenie kraju przez Armię Radziecką zaważyło wyraźnie na jego drodze życiowej. Majątek dziedzica, na którym pracował, został zamieniony na Państwowe Gospodarstwo Rolne. W kierownictwie PGR pojawili się ludzie diametralnie różni



od dziedzica i jego administracji. Gdy zwierzył im się ze swego umiłowania gry na skrzypcach i chęci uczenia się dalej, skierowali go na tchymnami na Studium Przygotowawcze przy Konserwatorium w Bukareszcie. Otrzymał bezpłatną naukę, miejsce w Domu Akademickim i stypendium. Swoją wybitny talent wspierali wytyczoną pracą i już po roku został powołany jako skrzypek do zespołu Centralnego Domu Kultury Związków Zawodowych. Zamiast prymitywnych geśli otrzymał wspaniałe wirtuozowskie skrzypce.

Będąc już przodującym skrzypkiem zespołu, Ciobanu, aktywista Związku Młodzieży Robotniczej, otrzymał polecenie zajęcia się kilkoma początkującymi chórami szkolnymi. Praca społeczna pogłębiała jego talent. W zespole Centralnego Domu Kultury Związków Zawodo-

wych przeszedł do pracy dyrygenta. Stamtąd wiodła droga na Uniwersytet im. Parhona w Bukareszcie. Chór uniwersytecki wymagał wiele pracy i doświadczenia zawodowego. Wśród członków panowało rozluźnienie dyscypliny, dano się zauważyć słabe wyszkolenie głosowe połączone z wygórowanymi ambicjami. Nieoceniona pomoc w usuwaniu braków i doskonaleniu pracy zespołu znalazł Ciobanu w literaturze radzieckiej, książce Jegorowa „Teoria i praktyka pracy chóru”. Idąc za radą radzieckiego mistrza potrafił on wzbudzić zainteresowanie członków chóru muzyką, ustalając repertuar na podstawie

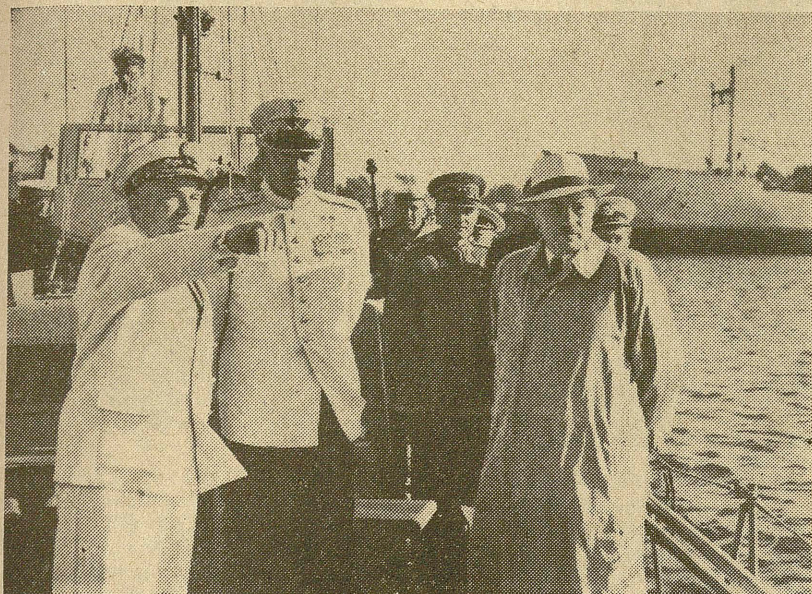
szym życiu wsi rumuńskiej. Entuzjastycznie witał wódz narodu rumuńskiego Gheorgiu Dej ogłosił z trybuny gigantyczny plan rozwoju rolnictwa rumuńskiego na okres najbliższych 10 lat, przewidujący podwojenie produkcji rolnej w porównaniu ze stanem przedwojennym. Ten oszałamiający plan będzie zrealizowany, lecz by go wykonać, należy przezwyciężyć ogromne trudności, wynikię wskutek szybkiego tempa rozwoju przemysłu o dowolniejszego wzrostu produkcji rolnej. Zjazd uchwalił nowy wzorcowy statut spółdzielni produkcyjnej i przedyskutował środki konieczne do wzmocnienia spójni pomiędzy miastem a wsią.

W nowych warunkach pracuje, uczy się i rozwija swoje talenty twórcze rumuńska młodzież chłopiecka. Ciobanu jest artystą, jest laureatem, ale równocześnie w terenie rosną nowi młodzi działacze, naukowcy, artyści np. Simon Ivan. Przyjechał na Zjazd Spółdzielczości z nadgranicznej węgierskiej ze wsi Nadesz pow. Sighisoara ze spółdzielni „Portizani Pucii”. Wieś zamieszkuje Rumuni, Węgrzy Sosi. Za rządów obszarników pracujących chłopci byli ku uciesze i pożytkowi miejscowego dziedzica i kulaków podzieleni na trzy wrogie obozy. Nawet po zorganizowaniu spółdzielni produkcyjnej dawne spory i zawzięci nieuprzedzeni wygasły.

Człowiekiem, który dokonał ostatecznie pojednania zwaśnionych był właśnie Simon Ivan. Z jego inicjatywy, przy poparciu organizacji partyjnej, utworzono czerwony kółko, którego został kierownikiem. Wzorowo wywiązując się ze swego zadania, Simon wciągnął do pracy młodzież. Wspólnie potrafili stworzyć w czerwonym kółku tak miłą i przyciągającą atmosferę, że wkrótce stał się on ulubionym miejscem zebrań dla wszystkich i wymiott definitywnie ze wsi resztki nacjonalizmu. W bibliotece czerwonego kółka bogato wyposażonej w książki radzieckie, węgierskie i niemieckie przeszło 40 proc. spółdzielców to stali czytelnicy. W czasie kampanii wiosennej 3 kółka czytelnice rozwijały swoją działalność w polu, w brzygadach i ogniwach. Nie zaniedbano podnoszenia wiedzy rolnej i dołano do tej akcji wciągnąć znaczną część spółdzielców. I tak 30 spółdzielców uczęszczało regularnie na posiedzenia kółka agrotechnicznego, 16 uczestni-

(Dokończenie na str. 7)

PRZEMÓWIENIE BOLESŁAWA BIERUTA NA ŚWIECIE MORZA



CBYWATELE! Mieszkańcy Polskiego Wybrzeża! Robotnicy i marynarze! Stocznicy i pracownicy portów! Żeglarze i rybacy! Wychowawcy i uczniowie szkół morskich! Żołnierze okrętów polskich na dalekich morzach i oceanach!

Dziś w dniu dorocznego „Święta Morza” pragnę przekazać Wam gorące pozdrowienia w imieniu Rządu i narodu polskiego. Z całego naszego kraju płyną dziś ku Wam, pracownikom polskiego morza, uczucia serdecznej sympatii, braterskiej solidarności i uznania.

Mineło 8 lat od chwili, gdy na 500-kilometrowe wybrzeże Bałtyku od Szczecina do Elbląga — po wielu wiekach rozłąki — powrócił prawy gospodarz Pomorza — polski lud pracujący. Od tej wielkiej, historycznej dla naszego narodu chwili, morze polskie, tak samo jak i cała ziemia polska od Bugu po Odrę i Nyse, stały się nierozdzielnie i zjednoczoną na zawsze z naszym życiem i naszą pracą, nie wzruszoną ostoją bytu i rozwoju naszej Ojczyzny.

8 lat, które upłynęły od chwili wyzwolenia polskiego Wybrzeża przez bohaterką Armię Radziecką — to okres krótki, ale jakże pouczający i znamienity!

Morze — to wielka i potężna droga, łącząca nasz kraj ze wszystkimi kontynentami. Uczymy się korzystać z tej drogi i w niedalekiej przyszłości będziemy z niej korzystać w bez porównania większym stopniu niż dotychczas. Środkiem transportu i komunikacji na światowych szlakach morskich jest nasza flota dalekomorska. W porównaniu z okresem przedwojennym polska flota dalekomorska zwiększyła swój tonaż przeszło 3-krotnie. W ciągu następnych 7—8 lat nasza marynarka handlowa zostanie poważnie rozbudowana. Posiadamy dziś już własny przemysł okrętowy, którego przed wojną Polska nie miała. Dzięki pomocy naszych przyjaciół radzieckich nauczyliśmy się budować okręty różnego typu i wielkości. Nasze stocznie morskie zatrudniają już dziś blisko 26 tys. pracowników, z których poważną część zdobywa wysokie kwalifikacje zawodowe.

Polskie okręty handlowe kursują już i w coraz większej liczbie kursować będą w niedalekiej przyszłości regularnie na liniach żeglugowych między Polską i portami krajów Europy, Ameryki, Azji. Po raz pierwszy w naszych dziejach mamy regularną komunikację między naszymi portami a portami wielkiego narodu chińskiego. Któż z nas nie rozumie, jak wielkie znaczenie posiada ten rozwój własnej żeglugi dla wzrostu siły gospodarczych naszego Państwa. Własna marynarka handlowa ułatwia również wymianę towarową z poszczególnymi krajami świata, co jest warunkiem wzrostu dobrobytu i zamożności całego społeczeństwa.

Żegluga morska — to wielka szkoła hartu, dzielności, bohaterstwa w walce człowieka z potężnym żywiołem mórz i oceanów. Około 15 tys. pracowników zatrudnionych jest już dziś w żegludze i rybołówstwie morskim. Nasi, prze-uważnie młodzi, marynarze i rybacy dalekomorscy z niezwykłą ambicją i dzielnością wypełniają swoje trudne zadania, z wielkim męstwem i honorem walczą o godność i stałą ojczystej

bandery. Cały świat podziwiał niedawno bohaterki wyczyn polskiej marynarki — „Czech”, którzy z niezwykłym poświęceniem uratowali w czasie burzy załogę tonącego statku egipskiego. Do pięknych kart młodej żeglugi polskiej wpisanych już zostało wiele trudnych, wymagających niezwykłego hartu podróży, jak np. 2-krotna podróż polskiego tankowca „Karpata” do Antarktydy i pionierskie podróże do krajów dalekowschodnich szeregu naszych statków handlowych. Polska Ludowa ma słusze prawo do chluby ze swych kadr morskich, z wielotysięcznej rzeszy najofiarniejszych pracowników żeglugi, rybołówstwa, portów, stoczn.

Armie hitlerowskie ustępując z Wybrzeża, ze szczególną zaciekleścią niszczyły miasta, zakłady przemysłowe, urządzenia, drogi komunikacyjne i transportowe, mosty, wały, służby wodne, zalewając olbrzymie tereny wokół Gdańska, aby uczynić je nieużytecznymi na dłuższy okres czasu. Dlatego też odbudowa Wybrzeża wymagała wielkich środków i olbrzymiego wysiłku. Tylko lud pracujący, włączający w swe ręce władzę w Państwie, mógł pomyślnie dokonać tak potężnego dzieła. Doświadczenie minionych ośmiu lat potwierdza z całą wymową i mocą, że tylko dzięki zwycięstwu władzy ludowej, dzięki braterskiej pomocy narodów radzieckich — Polska zdolała w stosunkowo krótkim czasie opanować olbrzymie trudności i przeszkody, zabezpieczyć warunki szybkiej odbudowy i rozbudowy całego kraju.

W tych wysiłkach poczesne miejsce zajmuje rozwój polskiego Wybrzeża — oraz z przekształceniem się w kraj nowoczesnego przemysłu Polska stała się równocześnie krajem morskim.

Państwo Ludowe przeznacza corocznie poważne sumy na inwestycje związane z pracą na Wybrzeżu, na rozbudowę i uzbrojenie w nowoczesny sprzęt stoczn, portów, na wzrost taboru, obsługującego połowy morskie, na odbudowę zniszczonych miast, na elektryfikację osiedli w miastach i wsiach Wybrzeża, na ulepszenie komunikacji miejskiej i podmiejskiej jak również na urządzenia, służące zaspokajaniu potrzeb kulturalnych, zdrowotnych i materialnych mieszkańców Wybrzeża.

Głównym i najważniejszym zadaniem władzy ludowej jest troska o człowieka pracującego, o warunki jego pracy i jego bytu, o niestanny wzrost jego kultury, jego świadomości politycznej, jego widnokręgu umysłowego.

Pragniemy pracować ze wszystkich sił, aby rośło i krzepło w niezmuszoną potęgę nasze Państwo Ludowe i aby rósł w nim człowiek pracujący — jedyny i prawdziwie oddany swej Ojczyźnie jej sprawiedliwy gospodarz. Aby rósł szybko, w naszej Ojczyźnie nowy człowiek — szlachetny i twórczy, dumny z coraz piękniejszych płoń wspólnej pracy całego ludu pracującego.

Droga do wzrostu kultury i stopy życiowej całego ludu prowadzi poprzez uprzedmiotowienie kraja i podniesienie kultury rolnej dzięki mechanizacji i zastosowaniu najnowszych zdobyczy agrotechniki. Czy mamy niezbędne warunki, aby stać się krajem wysoko uprzedmiotowionym i nowoczesnym, krajem kwitnącej kultury i rosnącego stale dobrobytu mas pracujących?

Niewątpliwie mamy takie warunki.

Naród polski w ciągu minionych 8 lat dowiódł, że jest narodem utalentowanym, mityjącym pokój i pracę, zdolnym do wspaniałych porównań twórczych. W każdej dziedzinie swej pracy — na lądzie i na morzu — polskie masy pracujące codziennie przekonywały się, że potrafią przezwyciężyć istniejące jeszcze trudności i osiągnąć poważne zdobycze w swym marszu naprzód do lepszego życia.

Budujemy w Polsce Ludowej nowy ustrój społeczny — socjalizm. Wraz z narodami Wielkiego Związku Radzieckiego i pod jego przewodem walczymy o to, aby trwał pokój między narodami. Umocniamy pokój, pogłębiając niewzruszenie szczerą przyjaźń i współpracę braterską z narodami budującymi nowe życie. Równocześnie uznajemy możliwość pokojowego współżycia i współpracy narodów o różnych systemach społecznych. Nie chcemy mieszać się w wewnętrzne sprawy innych państw. Uważamy, że wszelkie spory i różnice w sprawach międzynarodowych mogą i powinny być rozwiązywane w drodze pokojowego porozumienia. Ale właśnie w myśl tych zasad musimy jak najostrejsze potępić każdy fakt złośliwego naruszenia istniejących układów międzynarodowych, każdy fakt wrogiej prowokacji, każdą próbę napaści i podjudzania do gwałtów, które muszą prowadzić do zaostrzenia napięć w stosunkach międzynarodowych.

Prowokacja berlińska zorganizowana przez imperialistycznych najmitów spod znaku Adenauera powinna być sygnałem ostrzegawczym dla wszystkich uczciwych ludzi. Rzuciła ona snop światła na rosnącą zuchwałość ośrodków neohitlerowskich — rewizjonistycznych i militarystycznych w Niemczech zachodnich, które korzystając z błogosławieństwa swych możnych protektorów zmierzają ponownie do tego, aby narzucić całej Europie jarzmo hitlerowskich rządów ucisku i wyzysku w nowej masce, lecz o tej samej ponurej treści.

Odpór dany tej nikczemnej prowokacji przez masy ludowe Niemieckiej Republiki Demokratycznej, która wytrwale dąży do zjednoczenia Niemiec na podstawach pokojowych i demokratycznych, przekreślił rachuby faszystowskich awanturników. Prowokacja ta, podobnie jak zbrodnicze machinacje klki lissymannowskiej w Korei i jej popleczników, staną się niewątpliwie bodźcem do tym większej konsolidacji wszystkich obrońców pokoju, do jeszcze większego wzniesienia fali ruchu na rzecz utrwalenia pokoju.

Wszystkie te wydarzenia są dla mas pracujących całego świata przestroją i wymagają jak największego wzmocnienia czujności przeciwko knożom prowokatorów i dywersantów, przeciwko zbrodniczym działaniom faszystowskiej klki adenauerowskiej, usiłującej przeszkodzić dążeniom pokojowym narodów Europy.

Wbrew tym usiłowaniom reakcjonistów imperialistycznych i ich pacholców rośnie wciąż z nieodpartą mocą wola narodów okietniana podległości, rośnie i wymaga się walka narodów o zabezpieczenie pokoju.

Niezłomna zwartość i solidarność światowego zbozu pokoju, jego siła i przemość, są najlepszą rękojmią trwałego pokoju i bezpieczeństwa.

W odpowiedzi na ostatnie wydarzenia jeszcze mocniej zewrąmy swe szeregi we Frontie Narodowym, jeszcze bardziej zdecydowanie damy odpór wszystkim wrogim knożom, jeszcze bardziej zwiększymy swój wysiłek w pracy pokojowej dla rozkwitu naszej Ojczyzny.

Budujemy nową Polskę — wolną i szczęśliwą Ojczyznę ludu pracującego. Umocniamy nasze Państwo — nieustraszoną opokę naszej wolności i niepodległości, rękojmię — nieustannego wzrostu dobrobytu i kultury mas pracujących. Nie lekamy się trudności, których jeszcze wiele musimy usunąć ze swej drogi. Wiemy bowiem, że droga ta prowadzi nas niezawodnie do wielkiego celu, którym jest uśpienie i szczęśliwa przyszłość naszej Ojczyzny.

Marynarze, żołnierze, przodownicy pracy, młodzieży polski!

Cenna i zaszczytna jest Wasza służba strzegąca wolności naszego Wybrzeża i Wasza praca, wyknująca stałą polską morza. Naród polski z głęboką ufnością i miłością patrzy na Wasze wysiłki, na Waszą pracę i Waszą naukę. Naród nasz dumny jest ze swych osiągnięć, w których mieści się potężny układ i Waszej pracy, Waszej ofiarności i poświęcenia.

Jeszcze mocniej zewrąmy swoje szeregi! W twórczej pracy nad umocnieniem polskiego Wybrzeża, nad opanowywaniem i upiększaniem polskiego morza niechaj nam towarzyszą coraz liczniejsze i piękniejsze sylwetki naszych polskich okrętów i statków!

Niech żyje i rozkwita nasza umiłowana Ojczyzna — Polska Rzeczpospolita Ludowa!



Nocny pochód manifestacyjny niemieckich bojowników wolności. Hasło: Pamiętajcie o 1933!...

ALEKSANDER JAWICZ List z Niemiec »PRZECZYTAJ TĘ KSIĄŻKĘ!«..

Otrzymałem w tych dniach list od mojego niemieckiego przyjaciela, Ernsta P. z Düsseldorfu, z Niemiec zachodnich. Ernsta poznałem przed 12 laty w okresie niedoli, kiedy ja — Polak i on — Niemiec byliśmy więźniami obozu koncentracyjnego, do którego nas wepchnęli siepacze tej samej — über alles — hitlerowskiej władzy. Wiele upłynęło miesięcy od poprzedniego listu Ernsta. Łatwo mogłem sobie to milczenie wytłumaczyć, pamiętając o jego ostatnich słowach „przyszło przeżywać okres niemal taki, jak przed 1933 r.”. Wszak została przez Adenauera zdelegalizowana w zachodnich Niemczech VVN, Związek Ofiar Faszystów, którego ofiarnym członkiem i bojownikiem był Ernst. Nowy list Ernsta w dużym fragmencie podaję do druku.

WIDZISZ, mój drogi, raz jeszcze sprawdzić się nasze wisielce „Unkraut verbirbt nicht” (co ma wiesić — nie ma wiesić — u-tonie). Ha, cóż! Wszak przyzwyczajają nas do wielu nowych rzeczy — na bardzo starą nutę! W naszych „federalno — demokratycznych” (dla odmiany) więzieniach samego tylko Düsseldorfu ponad 17 tysięcy aktywistów Ruchu Obronców Pokoju podlega znanemu procesowi „nawracania”. A głodna obdarta dzieciarnia na olbrzymich zypiskach odpadków węglowych „organizuje” opał na zimę — mniej więcej tak, jak myśmy „organizowali” go kiedyś w obozie koncentracyjnym. Zresztą baraki podobne do naszych są tu powszechnie znane jako jedyna kwatery dla robotniczej większości miasta i dla okolicznego chłopstwa, przepędzanego z miejsca na miejsce celem opróżnienia rozległych terenów, na których bądź to powstawać muszą wojskowe obiekty, bądź też ćwiczebne poligony, dla „Shermanów”, ho i naszej nowej Reichswehry, która nosi niewinną nazwę „Grenzpolizei”...*)

„Kiedy patrzę na to wszystko oczyma szczególnie ciekawymi, bo znów przez rok blisko odwytkłymi od oglądania czegoś więcej niż druty kolczaste i kraty wracam często myślą do lat minionych i do naszych rozmów...”

Pamiętasz jak zwykłem być kończyć nasze rozmowy zdaniem: „Mówię ci, przeczytaj kiedyś tę książkę! Zrozumiesz wtedy jeszcze więcej, zobaczysz nasze nielatywne dzieje w jeszcze bardziej wyraźnej rarysowanych kształtach, w całej ich nagości”. Między innymi zwracałem ci wtedy uwagę na mało znanego jeszcze u nas, a zupełnie zapewne nieznanego u was autora, syna bawarskiego pasterza Scharrera i jego „Vaterlandslose Gesellen”...**) Mówiłem ci o tym pisarzu po to, abyś poznał Niemcy inne od tych, jakie powszechnie znane były twemu narodowi na skutek bismarckowskiej polityki a potem wydarzeń roku 1939 i następnych. Czyniłem to tak samo, jak tyś zbliżał do mnie postępową, twórczą myśl polską.

Wracam dziś do tego tematu nie dlatego, by pytać, czyś przeczytał tę książkę. Być może nie pamiętałbym wcale o tym, gdyby nie ostatnia moja wymiana korespondencji z naszym wspólnym przyjacielem Hansem, przeżywającym dzisiaj, jak wiesz, w NRD. Hans przesłał mi jedną z dalszych rzeczy Scharrera „Maulwürfe”...***) Ta właśnie lektura odświeżyła w mojej pamięci Scharrera. Radzę ci, przeczytaj tę książkę. Nie wiem, czy jest ona u was. Nana. Nie wiem, czy ukazała się w waszym tłumaczeniu. Dlatego poprosiłem Hansa, aby i tobie przesłał egzemplarz. Mnie byłoby dość trudno to uczynić...

Chciałbym, abyś poznał dzieje Brendlów i dzieje ślepego Bernarda, abyś mógł na podstawie tej książki, będącej dokumentem rewolucyjnej walki, zobaczyć nie tylko literackiego piękna, wyrobić sobie dokładny sąd o linii podziału przebiegającej w naszym społeczeństwie od wilhelmowskich czasów przez hitlerowską Rzeszę aż do dni dzisiejszych! Ta książka bowiem powie ci wiele i o tej rzeczywistości, w jakiej nam przyszło dziś znów żyć! A wydaje mi się, że obowiązkowo nas wszystkich, naszym i waszym, całego świata — jest jak najpełniejsze poznanie tej rzeczywistości!

*) Policia graniczna.
) Towarzystwo bez ojczyzny.
) Adam Scharrer — „Krety”, Czytelnik, 1953, Warszawa, przekład Wandy Krągen z przedmową Marceliego Ranickego, str. 390, cena 12 zł.

Scharrer poprowadzi cię przez historię naszego narodu, naszej klasy robotniczej, naszych mas chłopskich, przez lata wahań i błagań, słabości i skłóceń, wdzierającej się podłości i zdrady, ale nade wszystko szlachetności i cichego bohaterstwa, twardej walki o byt codzienny i sprawiedliwy ustrój społeczny pokazując te dzieje w charakterystycznym wycinku sytuacji wsi bawarskiej w latach pierwszej wojny światowej, potem w okresie kryzysu i latach międzywojennych — bez upiększeń, swoim stylem prostym a jednym, stylem, któremu na imię niekłamana prawda! Uważaj! Oni ci na historię poprzez fakty i ludzi. Przemówi do ciebie prostym językiem pisarza wyrosłego z ludu, językiem jednego z twórców niemieckiej powieści proletariackiej, językiem człowieka, który w atmosferze czynnej walki poznawał jej sens, jej potrzeby, a w atmosferze klęsk warunki jej zwycięstwa. Pokaże ci Scharrer bezimiennego bohatera tych walk, jakim był biedniaki element chłopski, rzucający się w ówczesnym rozumieniu „z motyką na słońce”, podejmujący walkę z uciskiem politycznym i klasowym, pokaże ci dojrzewanie świadomości tego kolektywu do rewolucyjnego sojuszu z klasą robotniczą i przyczynę przejmowania faszystów przez sferę kulackie, obnaży metody współtwórców faszystów — baronów von Eich. W ramach obrazu wioski ci powiadałby o chwycie charakterystykę ogólnoniemieckich wydarzeń.

„Kiedy dziś czytamy tę książkę, widzimy w dzisiejszych dniach, wczorajszy dzień! Ileż kreatur — jak Beck! Ileż chwiejnych i w gruncie rzeczy zdradzieckich jak Schrader! Iluż Engeringów i Hanstenglow, iluż zagubionych Wasilów bezradnie oscylujących między sumieniem a faszyzmem! Ileż podobieństwa w tym, co autor każe powiedzieć osłepłej ofierze wojny — Bernardowi: „Błyska i grzmi co dzień prawie. Długo to trochę trwa, ale zbiera się okrutna, ciężka burza. Jak ta burza się rozpęta, zrobi się huk taki, że najejeden pomysł! — Sodoma i Gomora... Jedynie tym, co zamiliłi wokół mnie wówczas, kiedy dokola mnie nastała noc, jedynie im zawdzięczam, że nie zmilczę dłużej. I także tym, których teraz ta sama banda zmusiła do milczenia...”

„Ale zmierz tę podobieństwa z różnicą, jaką wniośł wynik II wojny. Kreatorzy zdrady zdradzają jeszcze bardziej jawnie, ale w jakich warunkach? Kiedy zbudzone zostało sumienie wszystkich narodów. Kiedy Światowy Oboz Pokoju ma busole, którą może się kierować w ocenie tego, co grozi ludzkości zagładą, i tego, co otwiera perspektywę prawdziwie ludzkiego i pokojowego życia. Weź pod uwagę, że osłepia ofiara wojny (wówczas I) Bernard, kiedy dziś (jako ofiara II wojny) mówi: „nie zmilczę dłużej” — mówi to w warunkach, kiedy faszystowski i niemiecki faszystyzm w pierwszym rzędzie zadał drugożacy cios Związek Radziecki, kiedy w wyniku tego zwycięstwa powstała demokracja ludowa, Ludowe Chiny, a w naszym kraju NRD. Niemiecka Republika Demokratyczna to siła, jakiej narodowi niemieckiemu brak było od czasów średniowiecza, aby do władzy, sprawiedliwego życia i szacunku u innych narodów doprowadzić jego masy ludowe — proletariatu w sojuszu z pracującym chłopstwem, aby na takiej zasadzie zjednoczyć naród, jako przyjaciela innych narodów, a nie pana nad nimi.

Czytaj, co mówił przed laty biedniak Hababuk. O ileż dziś jaśniejsza i ostrzejsza jest prawda, której się biedny, ciemny chłop wówczas dopracował. Dziś bowiem oprócz „swoich panów” widzi jeszcze najeżdżące na połowie kraju, który z usług „jego panów” — zdradcy narodu — jawnie korzysta.

„Ze też to jest możliwe, że się ludzi zabija jak bydło z tej przyczyny, że jaśnie panowie podsycają niezgodę i prosty lud sam na siebie uderza, nie patrząc kto bije. I właśnie my, chłopi, zawzięci wierzyli temu, co nam mówiono, i harowaliśmy aż po dziś dzień i zawsze tylko dla innych... Niczym kret rzeje chłopa na swej odrobinie ziemi, a jak przetrąca całe życie, nie posiada nic... A jak ktoś z nas to pojmie i mówi innym, kto nas dusi za gardło, to wielmożni panowie znajdują zarutko

(Dokończenie na str. 7)

P. NAUMOW

Jak przygotowywano prowokację berlińską

(Korespondencja z Berlina)

Fakty świadczą, że berlińska prowokacja agencji zagranicznej przygotowywano od dawna. Już w sierpniu 1950 roku w borskim „ministerstwie do spraw ogólnoniemieckich” odbyła się tajna narada, zwołana przez ówczesnego amerykańskiego wysokiego komisarza w Niemczech zachodnich, Mac Cloya. Jak donosiła demokratyczna prasa niemiecka, na naradzie tej został wypracowany plan działalności wytorowanej przeciwko NRD. Major amerykańskiego wywiadu nadający ton naradzie, F. Rushberg, zażądał przeprowadzenia dywersji we wszystkich żywiołach uciążliwych dziedzinach w NRD. — „Nie będziemy szczeni milionów dla walki z państwem wschodniemieckim!” — oświadczył ten oficer amerykański.

Były to czasy, gdy młoda NRD z sukcesem kończyła realizację dwuletniej odbudowy gospodarki narodowej. Osiągnięcia NRD wywoływały wściekłość w obozie wrogów jednolitej Niemiec. Już wtedy było dla nich jasne, że umacniając się gospodarczo i politycznie NRD staje się oporą w walce narodu niemieckiego o pokój w Europie, o zjednoczenie, demokratyczne i pokój między Niemcami.

Wszystkie siły reakcji zachodni-niemieckiej ruszono do przygotowania zakrojonej na szeroką skalę dywersji, mającej na celu sparaliżowanie gospodarki NRD, wywołanie chaosu i nieporządku. „Ministerstwo do spraw ogólnoniemieckich” kierowane przez Jakuba Kaisera stało się sztabem przygotowywania tej dywersji.

„Ministerstwo” Kaisera wybrało za główną bazę swej przestępczej działalności Berlin zachodni. Od samego początku kierownictwo te-

go ośrodka zaczęło szykować się do „wielkiej akcji” wychodzącej z ram codziennych drobnych dywersji rozrzucając prowokacyjnych ulotek itp. „New York Herald Tribune” z 19 grudnia 1951 r. informował, że kierownik jednej z grup terrorystycznych, Tillich, oświadczył: „Na razie nie możemy wziąć na siebie odpowiedzialności za nawoływanie do strajków, lub innych rodzajów jawnego buntu. Jednakże jesteśmy przekonani, że taka akcja przedsięwzięta później będzie możliwa i konieczna. Politycznie kierownictwo powinno ustalić termin, kiedy można będzie liczyć na powodzenie”.

Agentów przerzucano do NRD z Niemiec zachodnich i z zachodniego Berlina, a niektórych uwięziono na miejscu. Wiosną ubiegłego roku został utworzony nowy organ dywersyjny — szpiegowski, który nazwano „Radą badawczą do zagadnień zjednoczenia Niemiec”. Na czele „rady” stanęły wielkie asy finansowo — przemysłowe, szczególnie spośród tych przestępców wojennych, których majątki na terenie Niemiec wschodnich przeszły w ręce ludu. Przewodniczącym „rady” został Friedrich Ernst, który za czasów Hitlera był „komisarzem do spraw niemieckiej własności zagranicą”. Innym członkiem rady badawczej został Spennrat, członek nadzorczy 20 wielkich monopol zachodni-niemieckich.

Zachodni-niemieckie pismo „Der Spiegel” komunikowało, że na radzie, na której utworzono radę badawczą, Kaiser chętnie oświadczył, że „plan generalny moż-

na uważać za gotowy” i że oczekiwany dzień „nadejdzie szybciej niż spodziewają się sceptycy”.

Przygotowywano się do prowokacji, organizatorzy puczu faszystowskiego werbowali i finansowali liczne faszystowskie bandy terrorystyczne w Niemczech zachodnich i w Berlinie zachodnim. Wśród nich szczególną aktywność przejawiała faszystowska grupa terrorystyczna „Związek Młodzieży Niemieckiej (BDJ)”, składająca się z elementów kryminalnych, byłych aktywistów Hitler Jugend, dawnych członków SA i SS.

Jak donosi prasa, w końcu ubiegłego roku do zachodniego Berlina przybył amerykański oficer Garwood, który uprzednio zajmował się przygotowywaniem wojskowych terrorystów z BDJ w okręgu Hessen. W Berlinie zorganizował on specjalny „sztab operacyjny”. Jak podaje agencja ADN, Garwood przed przybyciem do Berlina ćwiczył na poligonie w Waldmichelbach grupę niemieckich spadochroniarzy, przeznaczonych do zrzutu na terytorium NRD w celu wysadzenia mostów i innych urządzeń.

Zachodni-niemiecka burżuazyjna gazeta „Aachener Nachrichten” w marcu ub. r. pisała: „Ogromna jest liczba opłacanych z zagranicy gangsterów operujących w Berlinie za chodnim. Berlin zachodni jest zbiorem przestępczych elementów, będących posłusznym narzędziem zagranicy i otrzymujących wynagrodzenie Judasza”.

Fakty wskazują, że w NRD była z góry utworzona sieć szpiegów i prowokatorów, a w zachodnim Berlinie bandy pogromców i mor-

derców oczekiwały sygnału, by wdrzeć się do demokratycznego sektora miasta. Sygnał ten był dany na krótko przed zajściami, które miały miejsce 17 czerwca w Berlinie.

Nie przypadkowo 14 czerwca do Berlina zachodniego przybył szef osobistej kancelarii Adenauera, Lenz. Nie przypadkowo też 17 czerwca do Berlina zachodniego zawitał Jakub Kaiser.

17 czerwca na ulicach Berlina wśród rozwydrzonych band faszystowskich tu i ówdzie pojawiły się samochody z amerykańskimi znakami rejestracyjnymi, a przez megafony nadawano rozkazy dla tych band. Amerykańska radiostacja w Berlinie zachodnim „Rias” przez całą dobę nadawała wskazówki dla prowokatorów. Są to niezbité fakty.

Rozpoczynając faszystowską awanturę w Berlinie, urogowie pokroju usiłowań stordowanych posunięć rządu NRD, dążące do ułatwienia osiągnięcia porozumienia między wschodnią a zachodnią częścią Niemiec. Jak podaje „New York Times”, posunięcia te wywoływały „zamieszanie i popłoch w szeregach koalicji rządowej Konrada Adenauera”.

Bojąc się jak ognia perspektywy pokojowego zjednoczenia Niemiec na zasadach demokratycznych, kół militarystycznych uciekali się do awantury, nie licząc się z jej skutkami dla narodu niemieckiego. Ale urogowie pokroju ponieśli haniebne klęski. Ludność NRD w jeszcze bardziej zwarty sposób jednoczy się wokół swego rządu i jest zdecydowana odepchnąć wszelkie prowokacje wrogów jednolitej Ojczyzny.

P. Naumow

WOJCIECH BREOWICZ

PRZESTĘPSTWO PERKOWSKIEGO

(Opowiadanie o współczesnych losach emigrantów polskich w Brazylii)

SPAŁE się tej nocy magazynu kolejowy — zaczął do brzo odżywny. Hermes, bogaty hurtownik, rozpięty się przy stole, na którym tkwiły dwie butelki piwa.

Antonio, chuderlawy nauczyciel, do którego te słowa były skierowane, przysunął się z krzesłem bliżej stołu i spojrzał spokojnie na Hermesa.

— Czytałem o tym w prasie. Zresztą widziałem pożar przez okno. — Słyszał pan defonację? Szybko u mnie dygotały. Szkoda takiej ilości dynamitu. Uszkodziło poza tym kilka sąsiednich budynków — objaśniał hurtownik, zapijając jasnym piwem szczerze wyrażony sentymentu.

— To jest głupstwo, a nie żadna szkoda dla tak bogatej kompanii! — odrzekł Antonio, biorąc do ust pierwszy łyk piwa, którego zresztą nie lubił. Nie pija on żadnych trunków i nie wódcę się po barach. Dzisiaj zasiadł się po obiedzie nad gazetą. Nadszedł hurtownik z sąsiedztwa i potoczyła się rozmowa.

— Pan plecie! Wygląda, jakby pan popierał sabotażystów, czy innych ukrytych wrogów!

Nie wiem, czy macie między sobą sabotażystów, bo prasa nie o tym nie wspomina!

— Prasa! A co prasa może wiedzieć?

— Właśnie, że wie i to bardzo dużo, bo przecież sprawozdaniem z pożaru poświęciła całe spaliny. Opisała nawet, jak to płomienie ładnie igrały z wietrzykiem! To ci jest prasa! I niech pan patrzy, jak oni dociepnie dmuchają po piórku w bambus tej kompanii!

Hermes przy tych słowach bladł i ziemiał, starał się śmiać, ale mu się twarz krzywiła, bo przecież należał on do głównych akcjonariuszy tej prasy, o której taki oto obszarpaniec nauczyciel wyraża się w sposób tak pogardliwy.

— Pozwolę sobie zwrócić uwagę, że pan jako nauczyciel rządowy powinien zajmować lojalne stanowisko wobec naszej prasy!

— Jestem zupełnie lojalny wobec „waszej prasy“ i na dowód tego stwierdzam, że nigdy, nigdy nie rozpisuje się ona o pożarze biednego osadnika, czy rancho kabokla w lesie. Gazety stałe czytuję, ale nigdy nie czytałem o pożarach dobra leśnych ludzi.

— Pan ma dziwaczne wymagania! Redakcję według pańskiego zdania powinny wysłać korespondentów z aparatami fotograficznymi aż gdzieś — powiedzmy nad Rio dos Mortos, czy w Sierra do Mar, po górach, dziurach i bezdrożach, aby zbadać in loco plac spopielenia, gdzie kilka dni temu stało marne rancho kabokla. Dziwne pretensje!

— Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, że to rancho stanowiło cały majątek kabokla? — Antonio świ-

drował lekceważącym wzrokiem Hermesa.

— Majątek! To ci majątek! Nędzia i smród! — wybełkotał hurtownik.

— Pięknie się pan wyraża o mieszkaniu obywatela Brazylii!

— Obywatel! Kapiwara...

— Obywatel taki sam, jak i wszyscy inni urodzeni w tym kraju!

— Ładnie wyglądały Brazylii, mając tylko takich obywateli!

— Więc pan zalicza do grona obywateli tylko bogaczy... Tak, bogaczy... Kaboklo więc należy do klasy niewolników? Ciekawe tylko, kto by produkował i kupował wasze artykuły, gdyby diabli wzięli tych niewolników?

— Dziwię się, że pan trzyma stronę tego chamstwa... Po co to panu?

— zapytał wykrętnie hurtownik.

— Trzymam za sprawiedliwość, nie za „chamstwem“, o którym pan wspomina, a jeżeli istnieje „chamstwo“, to tylko po stronie przeciwniej!

— Nie rozumiem, o jaką sprawiedliwość panu chodzi?

— Sprawiedliwość jest tylko jedna!

— Jaka?

W tym momencie wszedł kierowca samochodowy z trzema pomocnikami.

— Tak, tak, sprawiedliwości, bo będzie źle!

— Słyszał pan, co ludzie mówią?

— wyrzekł Antonio.

— Hołota! Sprawiedliwości im się zachciewa! I nawet grozi! Sprawiedliwości! I to takiej, o jakiej tu pan gędzi... Ho, ho! To nie jest żadna sprawiedliwość, bo nie pochodzi z prawa!

— Ależ to jest sprawiedliwość wywodząca się z głębi samej sprawiedliwości, nie z waszego „prawa“, które jest tylko bezprawiem, a raczej — prawem ludzi bogatych, którzy przy pomocy tego „prawa“

uciskają biedaków, wyrzucają nędzę leśną z dawno zajmowanej ziemi, palą ich szalasy, strzelają do ludzi jak do dzikich zwierząt!

— Nie rozumiem określenia „wasze prawo“. To chyba znaczy, że to samo prawo dzieli się na kilka części: dla nas posiadaczy, dla was niby biedniejszych i wreszcie dla najbiedniejszych — chłopów i robotników. Przecież to nonsens!

— Nonsens?... Podniesiono wam drobne podatki... Zebrał się, przedłożył władzom odpowiednią rezolucję i bez krzyku podatki obniżono... Druga strona medalu: w czasie demonstracji żywnościowej — drożyznianych stągiew na czele jednej grupy kobiecej. Napadnięto nas. Mnie obito do nieprzytomności pałkami, trzymano trzy tygodnie za kratami. Wypuścili mnie dopiero wtedy, gdy mogłem o własnych siłach wstać z cementowej podłogi. O patrz pan, widział tu zlamaną kość nosową! Po wyjściu leczyłem się przy pomocy samych biedaków! Bo tylko biedny rozumie biednego! Dobrze, że działa się to w okresie wakacji, więc nie straciłem pracy... Pytam się, czy wasze prawo dopasowano do ludzkich wymogów sprawiedliwości, jeśli chodzi o jego stosunek do mojej osoby i tysięcy innych podobnych mi obywateli? Myśnię przecież szli tą samą drogą do Pałacu! Pytam, gdzie to prawo?

— Pan i podobni prowodyrzy stanęli na czele band burzycielskich. My wystaliśmy tylko delegację...

— Pięć razy chodziła nasza delegacja. Nie było żadnych band. Przyjeżdżo, poklepano, obiecano... Stosunki zamiast się polepszyć, uległy pogorszeniu. Wystąpiły masy pędzone rozpacz! I wtedy to ulamek zlamany przez wasze prawo konstytucyjne kazał głodnych ludzi bić, więzić i jeszcze więcej głodzić! Był to ulamek „prawa“ za-

stosowany ściśle tylko do biedoty! Prawo i sprawiedliwość dla biednych? Śmieję się pan!

— Musi być porządek! — rzucił rozjuszony Hermes.

— W objęciach głodu, nędzy i braku dachu nad głową, jakby po jakiejś wojnie! — unił się Antonio.

Hermes zgrzytał zębami z wściekłości. Wreszcie mruknął jak tygrys:

— Tu was boli! Chory sen o luk-susach!

— Nie myślałem o luksusach pana. Tu chodzi o polepszenie warunków bytu — o wyrugowanie głodu!

Za pracę należy się sprawiedliwe wynagrodzenie, ludzki kąt mieszkalny i taniść artykułów codziennego użytku! Skąd ta drożyzna i brak takich lub innych produktów?

— Bo nie mamy własnych, albo zboże nie obrodziło!

— Po co nasze zabierają Amerykanie?...

— Bo trzeba nam na uzbrojenie! — Do walki z uciemiężonymi masami!

— Znowu pan plecie! J

Antonio sięgnął powoli do kieszeni i wyciągnął w dziesięciurozłożoną kartę gazetową, kładąc ją na stole tuż pod czerwonym nosem pana Hermesa:

— Oto piękny dowód, a jest ich tysiące! — rzekł.

— Szmata komunistyczna! — syknął przez zęby Hermes.

Nieprawda! Jest to kartka z konserwatywnej „Gazeta do Povo“ (26.7. 1952 r.). Niech pan wysłucha jak „człowiek“, bo gazety pisują dla ludzi — rzekł spokojnie Antonio, podnosząc kartkę.

Hermes zagryzał zębami. Antonio zaś czytał:

— Moją zbrodnią jest przekształcenie kawałka dzungli w osadę. Ja, stary emigrant polski, Antoni Perkowski, 65 lat życia... otrzymałem od stanowego rządu 42 akry dzikiej puszczy nad rzeką Corrego



da Cacadeira w municypium Astorga. Działo się to przed 15 laty. Rąbałem dzunglę z podrastającymi dziećmi, pracowałem całymi dniami i nocami, byle z dzikiej dzungli uczynić pola chlebowe.

— A... będzie tu pan zanudzał głupstwami! — przerwał pan Hermes watek niemiłej historii.

— Na takich to „głupstwach“ trzeba budować istotę prawa! — odrzekł Antonio i czytał dalej:

— Powoli rozbudowaliśmy się nad Corrego. Z szalasy przeniesiliśmy się do lepszej zagrody. Wybudowałem drogę przez dzunglę do świata. Kto znał te okolice przed 15 laty, ten do dzisiaj jeszcze drży przed jej okropnościami. Ale chłop polski nie zna tego, co inni strachem nazývają. Była on: bardzo odległa od jakiejś takiej c. wilizacji, różne choroby, obfitość drapieżników. Nie brakowało i band napastniczych, gorszych od zwierząt! Byłem przy-czółkiem mostowym, ku któremu powoli zaczęły zbliżać się pojedyncze osiedla, postępując szlakiem wyrabianym przeze mnie drogi. Ale ja z rodziną wytrwałem w ciągu 15 lat jako awangarda w najdalej głębi leśnej na dalekiej Północy naszego Stanu!

„Pewnego dnia zjawili się u mnie kilku dostatnio ubranych panów i wyrazili chęć kupna terenu. Czulem się już przemęczony. Pał-czół nie mogłem wyprostować, by krzepko trzymać fojsę lub topór. Zona i dzieci były również bardzo wyniszczone. Dokuczał nam klimat. Postanowiłem więc sprzedać posiadłość i założyć jakieś takie gniazdo gdzieś w pobliżu miasta, by móc spokojnie przeżyć resztę dni i dać dzieciom trochę ogłady. Po kilku tygodniach zostałem wezwany do urzędu hipotecznego w Astorga celem podpisania aktu kupna-sprzedaży i odbioru ugodzonej kwoty. Po podpisaniu dokumentu kupcy oświadczyli, że muszą jechać z nimi do odległego Sao Jeronimo, gdzie mieli m. wręczyć pieniądze. Pojechałem. W Sao Jeronimo nabywcy ulotnili się na zawsze uwołąc ze sobą podpisany dokument. Nie otrzymałem ani centawa! Popędziłem przegodnym samochodem do Londryny, zawiadomiłem władze, następnie pojechałem do stolicy Stanu, aby przedłożyć skargę najwyższemu czynnikom. Bo

zbrodnia...moją jest przekształcenie kawału dzungli w chlebowe osiedle! Czy za moją pracę i krwawy znój znajdę sprawiedliwość? Czy władze unieważnią wydaty mi podstępnie a...! kupna - sprzedaży? Nie wierzę, bo jestem biedakiem, a dla takich nie ma sprawiedliwości!

Tyle opowiedział pokrzywdzony Perkowski. Co pan na to?

— Znajdźcie sobie inną ziemię, pójdźcie głębiej w lasy i nikt go tam nie znajdzie!

— Nie znajdzie nowej ziemi, bo już za stary i zbyt mocno uderzony. Pokrzywdził go najmiłsi faze-derów i innych oszustów, przeciwko którym ktoś zasługuje jakieś takie prawo, skoro „prawo to oni“ — ich wpływy, pałki i kule! — mówił mocno zirytowany nauczyciel.

— A cóż ma prawo do tych rzeczy?... Mógł się pilnować — cieni-ga! Pan się czepił tego prawa...

— Prawo — i tylko prawo! Notariusz był wyraziścielem prawa w toku sporządzania, względnie podpisywania dokumentu. Jako wyrazi-ciel tego prawa winien był poin-formować ciemnego i zahukanego osadnika, aby nie podpisywał żadnego aktu przed odbiorem pienię-dzy! Kto zresztą wie, czy sam o-tariusz nie należy do szajki osz-czadów i złodziei? — rzekł z prze-konaniem Antonio, chowając do kieszeni wycinek z gazety.

— Rzeczywiście... pan ma tyle kłopotu! — rzekł zjadliwie Hermes.

— Jest to kłopot, należący zarów-no do mnie jak do każdego uczciwe-go obywatela, bo chodzi tu nie o jed-nego, ale o tysiące Perkowskich, którzy o wielką zginięnię moralną, która od początków historii tego kraju pustoszy życie spokojnego mieszkańca — a zawsze pod płaszczykiem jakiegoś „prawa“, przez którego jaguar się przebija, a sara-kura wpada!

Pan Hermes płacił tymczasem rachunek i mrucał jakby sam do siebie:

— Gdyby mniej opiekunów... mniej opiekunów... — Wstał i potoczył się w stronę samochodu.

Mocno przygnębiony Antonio skierował się ku wyjściu rzucając za odchodzącymi:

— Do czasu, jasnie panowie — do czasu...

Wojciech Breowicz

JAN KOPROWSKI

WIERSZE OPOLSKIE

I.

Ziemię opolska, tobie śpiewam,
dla ciebie składam moje strofy.
Pochwalam miasta, rzeki, drzewa
i ręce ludzkie, i kilofy.

Nad wiekiem przeszłym pochyliły
twe bohaterskie czytani dzieje.
Piękni tu ludzie żyli. Oni
wiodą nas w przyszłość, która dnieje.

Któż z nas, opolska ziemi, nie zna
synów i cór twych. Kto ich zliczy?
Jak gwiazda świecił chłop z Oleśna:
Minkus i Marek z Jemielnicy.

II.

Ziemię opolska, śpiewam dzisiaj
twój trud codzienny, pracę twoją.

Człowiek w spółdzielczy zagon wysiał
ziarno, co wszędzie dla pokoju.

Wśród załóg cementowni, fabryk
przyjaciół mam i znam ich troski.
Wnoszą powszedni dzień i każdy
serce oddaje sercu Polski.

Pozdrawiam, ziemi, twoją młodzież —
często do siebie piszemy listy.
Z nich jak zapowiedź słońca o wschodzie
przyszłości błyska blask promienisty.

III.

Wiosna złą zimę, przyjaciele,
jak jeźdźca wysadziła ze strzemiem.
I żyć już pięknie, i marzyć śmielej,
ziemię opolska, ojczysta ziemi.

WOJCIECH DRYGAS, IGOR SIKIRYCKI

PRZYSZŁA KRYSKA NA MATYSKA

(Ten sam co i poprzednio sklep GS. Za ladą siedzi Zosia).

Otwierają się drzwi — wpada kierownik z książką w ręku.

Kierownik: Oszust! Zwyczajny oszust! Mnie, starego wróbla, chciał nabrać. Ale nie uda ci się, gagatku, bom czujny i oczytany w dobrej literaturze. Już ja ci pokażę...

Zosia: A o kim pan kierownik mówi? O kim?

Kierownik: Zaraz dokumentnie wyjaśnię... Tak jak pannie obiecywałem, całą noc spędziłem nad tą książką Gogola. Ale opłaciło się to czytanie, opłaciło się sowicie...

Zosia: Strasznie ciekawam...

Kierownik: (z przejęciem) Horodniczy, niby ten ich sołtyś, to zastosował taką taktykę: jak już poczuł, że z tym rewizorem dalej nie ujedzie i że wszystkie kombinacyjki wylazły jak sztydo z worka, zwołał odprawę wszystkich swoich przyjaciół. Na tej odprawie uchwalono zafundować rewizorowi o-biadek, wsunąć mu zespolowo do kieszeni parę tysięcy rubli i podsu-nąć w łapy córeczkę horodniczego.

Ten rewizor był bardzo kontenty, każdemu tam coś obiecał i pojechał do domu. Dopiero wówczas wybuchła bomba! Wie panna Zosia, co się stało? Ten rewizor, to nie był żaden rewizor, jeno zwyczajny oszust i drań, bo uczciwych ludzi nabrał. Wykorzystał ich i tyle go widzieli!

Zosia: Tak stoi w tej książce?

Kierownik: (bije się w pierś) Kłnę się w żywe kamienie! Jakem przeczytał tę książkę, tom od razu wyczuł pismo nosem...

Zosia: Jakie pismo?

Kierownik: No, to z powiatu, co nam wczoraj przysłał, niby o przyjeździe tego rewizora... Od razu wszystko wydało mi się mocno podejrzane. Bo niech panna Zosia sama zobaczy (wyciąga z kieszeni pismo). Kto to pismo podpisywał?

Kto? Prezes Koziółek?

Zosia: (kręci głową) To nie on...

Kierownik: A widzi panna! Jakis obcy podpis, nieczytelny, z zakreślasem. A przecież dotąd wszystkie pismka podpisywał sam prezes. Prezes Koziółek nie robi zakreślasów...

Zosia: Jasne, że nie robi...

Kierownik: To zwyczajny oszust.

Falszywy rewizor, panno Zosiu! Chce nas wykorzystać i fiut... Trzeba teraz ułożyć plan działania, żeby nas nie wykłamał...

Zosia: Tak, tak... konieczne plan...

Kierownik: Najsamprzaw zatelefonujemy do powiatu. Trzeba zrobić donos. Niech milicję przysyła-ją! Kto wie? Może za to czynność jakiś order dadzą? Wyróżnią człowieka?

(podchodzi do telefonu)

Zosia: Niech pan kierownik nie zapomina o mnie. Ja też od samego początku byłem uczynna...

Kierownik (telefonuje): Halo, proszę PZGS! Zajęty? Dobrze, czekam.

Zosia: Mnie wystarczy dyplom, albo premia...

Kierownik: Halo, PZGS? Wykryliśmy wielką aferę... Poproszę do telefonu prezesa Koziółka... Co? Nie ma? Że jak? No to bardzo źle, że wyjechał. A z kim rozmawiam? Z zastępcą? Aha, bo tutaj, kolego, pilna i poufna sprawa! Nie, nie kawa, jeno sprawa! S p r a w a! Zrozumieł się? Więc, proszę ja was, to było tak: wczoraj przyjechał do nas falszywy rewizor z podobionym pismkiem i zaczął się tutaj rządzić jak szara gęś. Najpierw kazał sobie stawiać wino, potem zażądał kategorycznie żebyśmy mu grali i śpiewali, a naszej sklepowej, pannie Zosi, czynił różne propozycje... Wiecie, co mam na myśli... Teraz to on łazi po wsi i buntuje chłopów. I w ogóle straszy człowieka... Więc poradzicie, co mam robić? Czekaj na wasz telefon? To dzwonicie jak najprędzej, albo jeszcze lepiej przysyłać zaraz milicję. My tymczasem tego piaszka zagadamy... Tylko nie zapominać, że to ja wykryłem tę całą sprawę i jakieś odznaczenie mi się należy.

Zosia (szarpie kierownika za rękaw): Niech pan kierownik i o mnie coś powie...

Kierownik (nie zwracając na nią uwagi) To tymczasem cześć! Czekam na decyzję!

(stukanie do drzwi)

Zosia (biegnie do drzwi): To pewnie on! Jak wejdziesz — zakłuczę drzwi!

(Część trzecia widowiska satyrycznego)

Żytko (zderza się z Zosią): O rany... Co się panna tak pcha?

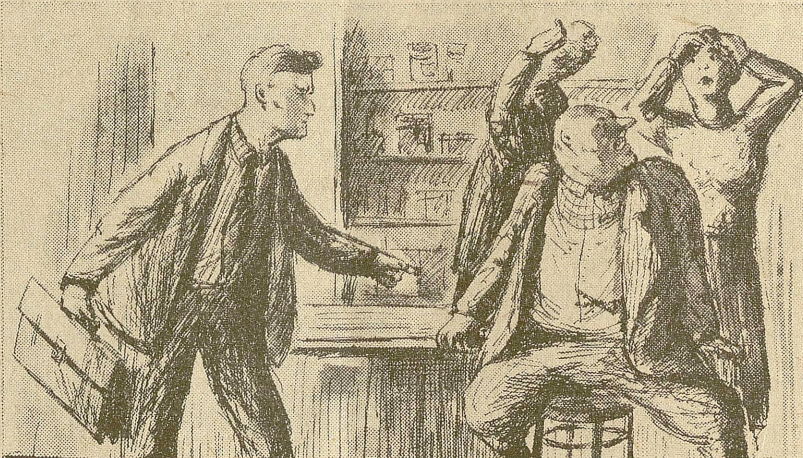
Zosia (cofa się): Najmniejnie przepraszam, panie Żytko... Myślałam, że to on...

Żytko: Jaki on? To ja!

Kierownik: Malenka pomyłka! Panna Zosia chciała przyłapać delegata. Po ten rewizor to jest falszywy rewizor... Zwyczajny oszust.

Żytko: Oszust? A któż wam to powiedział?

Kierownik: He, he, któż... A no



Rys. B. Butenko

Gogol, ten ruskii pisarz... specjalista od tych falszywych rewizorów...

Żytko: Nie może być!

Kierownik (popycha Żytka w stronę drzwi): Niech pan leci, panie Żytko, odbierać od chłopów swoje wiaderka i ręczniki. Wszystko jest po staremu... wszystko wedle sumienia...

(wchodzi rewizor, Żytka za jego plecami usiłuje cichym głosem do sklepu)

Rewizor (do Żytka): Dokąd to wam tak spieszo, panie Żytko?

Żytko (niezdecydowanie): A no idę na wieś... Przydziały pozmięniać...

Rewizor: Jak to pozmięniać?

Żytko: Wedle tej nowej instrukcji.

Rewizor: Czyjeż znowu instrukcji?

Kierownik (z drwiną): A tego Gogola, co to pan delegat pewnie nie wie, rewizorów różnych opisał...

Rewizor: Gogola! Co to znaczy?

Kierownik: Spokojnie, spokojnie! Tu się wszystko robi po linii czułości i planu... (do Żytka) Idź, idź, panie Żytko i odbierz, co twoje... (do rewizora) Zobaczmy, kto tu kogo porządków będzie uczył...

(Żytko wychodzi)

Rewizor: Nic z tego nie rozumiem. O co wam właściwie chodzi?

Kierownik: Racja, panno Zosiu! z zakreślasem! Ale my czujni... Pieknie czujni... Sumienie w takich sprawach zwiększoną czujność mi nakazuje...

Zosia (klaszcze w dłonie): Pan kierownik zawsze wedle sumienia...

Rewizor: To znaczy, że nie pozwolicie na kontrolę swoich ksiąg?

Kierownik (wyciąga rękę): Co to — to nie! Po moim trupie!

Rewizor: Domyślam się, jaki tam panuje bałagan! Najwyższy już czas, żeby zaprowadzić u was porządek... Żeby wybrać nowy komitet sklepowy. Teraz doskonale rozumiem tych wszystkich chłopów, którzy zanosili na was skargi do powiatu.

Kierownik: Aha! Pewnieście tu sobie miejsce kierownika upatrzyli...

Rewizor: A tak! macie rację! Chociaż niezupełnie... Kierownikiem w tym sklepie co prawda nie zostanie, ale komitet sklepowy na wyrażne życzenie chłopów będzie zmieniony. Mam tutaj instrukcję...

Zosia (do rewizora): Jak trzeba będzie wybrać komitet, to pan kierownik sam go ułoży. Wedle sumienia...

(wchodzi Żytko)

Żytko: Nie obyło się bez awantury, ale dwa wiaderka udało mi się uratować...

Kierownik: Nareszcie pan zma-drał trochę, panie Żytko. A milicji jeszcze nie widać?

Rewizor: Milicja to się zajmie wami jutro. Skończy się nareszcie

wasze panowanie, przyjdą tu ludzie z nowego komitetu sklepowego, którzy doplnią, aby te towary, które robotnik produkuje dla was, dostały się we właściwe ręce — w ręce chłopu pracującemu...

Żytko: Ludzie kochane, co to będzie! Co to będzie!

Zosia: Nie nie będzie, panie Żytko! Premia będzie, dyplom uznania będzie...

Kierownik: Order będzie...

Rewizor: Tak, wycisną wam chłopiki taki order, że się wam odechce na całe życie.

(Żytko wycofuje się powoli do drzwi)

Kierownik: Dokąd to, panie Żytko?

Żytko: Oj, panie kierowniku... Ja tylko oddam chłopom te wiaderka (wychodzi).

(dzwoni telefon)

Kierownik (podejmuje słuchawkę): Halo, słucham! Łączycie z powiatem? Dobra, czekam... (do Zosi) Powiat będzie mówił!

Zosia: Nareszcie! (za drzwiami rosnące dźwięki akordeonu, po chwili wchodzi Stach).

Kierownik: Cicho tam! (machając ręką). Nic nie słysz!

Zosia: (do kierownika) Niech pan kierownik nie zapomni o tej premii dla mnie...

PROF. DR. WŁADYSŁAW HERMAN

Wspólnie kudemmy socjalistyczne rolnictwo

DAWNIEJ, w okresie wszechwładzy kapitalizmu w naszym kraju, na drodze rozwoju zootechniki leżały przeszkody społeczno - ekonomiczne i organizacyjne. Dawniej prywatny właściciel, dziedzic na folwarku, czy kulał, stosowali się do wskazań i zaleceń nauki tylko o tyle i tylko wtedy, kiedy sami chcieli. O postępowaniu ich nie decydowało dobro kraju, lecz zysk osobisty.

Musimy jednak przyznać, że również wielu naukowców nie rozumiało wówczas znaczenia i potrzeby współpracy z terenem. Zamknięci w swoich laboratoriach żyli oni zapatrzeni w oderwane od życia, częstokroć pozbawione praktycznej wartości, swoje teorie.

Dzisiaj zniknął już u nas ten typ naukowca odcinającego się od zagadnień realnego życia murami swego laboratorium i szklami swych mikroskopów. Dziś wzorem są dla nas tacy uczeni jak Miczurin, Łysenko, Iwanow, Dawydow, Bogdanow i inni naukowcy radzieccy. Laboratorium dla nich to szerokie tany i pastwiska kółchozów czy sowchozów, oraz stajnie, chlewnie, owczarnie i kurniki ferm hodowlanych.

Najważniejsze tematy opracowywane przez tych uczonych to zagadnienia na wskroś praktyczne, jak przeniesienie uprawy ziemniaka na południe Ukrainy i na Krym, czy aklimatyzacja szlachetnych odmian drzew owocowych aż prawie pod północnym kołem podbiegunowym, jak tworzenie górskich ras owiec cienkornych - kaukaskich merynosów, czy rekordowej rasy mlecznej bydła w Karawajewie, jak opracowanie nowych, lepszych metod rozplodu i wychowu zwierząt hodowlanych, to nowe kierunki w nauce żywienia. I u nas zrozumienie konieczności przyjęcia takiej postawy wobec życia staje się coraz powszechniejsze.

Zootechnika walczy o wzrost wydajności zwierząt, walczy o to, aby krowa dawała więcej mleka a świnia więcej tłuszczu i mięsa, aby koń mógł wykonywać większą pracę. Cel ten można osiągnąć tylko przez planowe oddziaływanie na zwierzęta, przez rozwijanie w nich większej produktywności.

Owce to jedno z głównych źródeł utrzymania naszych górali. Jakże jednak mało wydajny, jak mało produktywny jest nasz kaciół podhalański. W twardej, niewykorzystanych warunkach bytu kaciółki zdobniały, sprymitywniały. Ciężar dorosłej sztuki tej rasy częstokroć nie dochodził nawet do 30 kg, roczna wydajność grubej, prymitywnej wewłu nie przekraczała w dwu strzyżach 2 kg. Góral nie mógł udoić od swojej owcy w roku więcej niż 40 do 45 litrów mleka. Hodowla takiej owcy nie mogła przynieść rolnikowi większych korzyści.

Liczne przedwojenne próby uszlachetnienia kaciółki podhalańskiej zawiodły. Dopiero po wojnie, Rząd Polski Ludowej stworzył prof. M. Czaję w Grodźcu Śląskim warunki wytworzenia nowej, wydajnej rasy owiec podgórskich dla Karpat i Sudetów. W oparciu o doświadczenia radzieckie, drogą ujemnej selekcji krzyżówek i odpowiednich warunków wychowu wytworzono w Grodźcu nowy typ ulepszonej wydajnej owcy górskiej. Owca nowego typu osiąga ciężar 50 - 60 kg, przy wydajności 6 - 8 kg wełny rocznie przy mleczności, po odświeżeniu jagnięt, jeszcze 120 litrów mleka o 6,5 proc. tłuszczu. Już tych parę liczb dostatecznie podkreśla osiągnięty postęp.

Dzisiaj hodowcy - praktycy z coraz większą ufnością zwracają się do przedstawicieli nauki o pomoc i poradę. Praktycy nie uważają już naukowców za nadętych swą wiedzą medków, oddzielających się od świata w osobną kastę, lecz traktują ich jako towarzyszy, pragnących podzielić się z nim i pomóc mu swą wiedzą i doświadczeniem. Naukowcy zaś, ze swej strony nie gardzą żadnym i obserwacjami praktyki. Wiedzą oni, ile prawdy może leżeć w spostrzeżeniach najmłodszej nawet dojarki.

Dzisiaj studenci, asystenci i profesorowie wyższych uczelni coraz częściej wyjeżdżają w teren do państwowych gospodarstw rolnych i do spółdzielni produkcyjnych. Obserwują tu oni, uczą się, zbierają doświadczenia ale także i tematy wymagające opracowania. Równocześnie pomagają i udzielać porad czy wskazówek praktycznych. Uczelnie rolnicze biorą pod opiekę poszczególne spółdzielnie produkcyjne, pomagają spółdzielcom w hodowli, uczą jak należy pielęgnować i żywić zwierzęta. Tu również mogą w skali produkcyjnej sprawdzić słuszność swych założeń, opartych na wnioskach z pracy laboratoryjnej.

Najbogatsza szkoła w najbogatszym kraju kapitalistycznym nie mogłaby dać swoim pracownikom dziesiątków tysięcy sztuk bydła, koni, owiec czy świń jako okazów do doświadczeń czy chociażby nawet obserwacji. A my dzisiaj dziełki tysięcy mamy. Nasze obserwacje nie ograniczają się dzisiaj do zwierząt większych lub mniejszych obojętne w gospodarstwie doświadczalnym. Przed nami stoi otworem, nam pomaga, w pracy, wieloletnie doświadczenie zootechników-prak-

tyków, całe długie nieraz, owocne i pracowite życie spędzających w swym umiłowanym zawodzie. To doświadczenie dopiero teraz może być w pełni wykorzystane przez naszych zootechników - naukowców.

Nieraz do naszych Zakładów Naukowych i Naukowo-Badawczych przyjeżdżają wycieczki spółdzielców, robotników PGR, służby zootechnicznej i naukowców a nawet goście zagraniczni. Wszystkich przyjmujemy chętnie, nawiązujemy kontakty, dzielimy się spostrzeżeniami. Najmilsze dla nas są jednak zawsze wycieczki młodzieży, członków spółdzielni produkcyjnych i członków brygad hodowlanych z państwowych gospodarstw rolnych. Rozmowy z praktykami dają nam bezpośrednią, prawdziwą ocenę wartości naszych prac doświadczalnych i naszych badań. Jakże często uwagi wypowiadane przez zwiędających i ich zapytania pomagają nam w rozwiązywaniu trudnych problemów, przyczyniają się do pogłębienia ujęcia albo do właściwego ustalenia tematu. Nieraz dopiero po rozmowie z grupą praktyków odwieczających zakład naukowy, udaje nam się we właściwy sposób naświetlić jakieś trudne zagadnienie naukowe. Rzecz jasna, że wycieczki takie i dorywcze rozmowy nie mogą być prowadzone bezplanowo, rozbiłaby to normalny tok pracy zakładu. Nie mogą też one być jedną platformą wymiany myśli. Stąd wartość i znaczenie „otwartych” sesji naukowych. Na zebraniach takich, zwolowanych w celu pogłębienia określonego tematu, zagajających jednym lub kilku referatami wprowadzającymi, toczy się swobodna dyskusja nad najważniejszą w danym czasie

grupą zagadnień. Taka wymiana myśli przynosi duże korzyści zarówno praktykom, pełniącym różne funkcje, zajmującym stanowiska na wszelkich szczeblach procesu produkcyjnego, jak i naukowcom, przez skonfrontowanie z życiem założeń i osiągnięć ich pracy badawczej. Gdy więc w gazetach czytamy, że w dniu 8 czerwca odbyła się we Wrocławiu Sesja Naukowa na Wydziale Zootechnicznym WSR, to wiemy, że nawiązane zostało nowe ogniwo współpracy pomiędzy nauką a praktyką.

Dalsze formy współpracy to książki fachowe, czasopisma, film i pogadanki radiowe. Wszędzie bezpośrednimi współpracownikami, współtwórcami są naukowcy i praktycy. Nigdy u nas tak szeroko nie współpracowali jeszcze z wydawnictwami, z redakcjami czasopism terenowej korespondencji. Nigdy tak wiele nie pisano o osiągnięciach poszczególnych gospodarstw i ferm. Nigdy jeszcze nie dowiadujemy się tyle o sposobach pracy produkcyjnych praktyków, osiągających najwyższe wyniki produkcyjne.

Trzeba dziś, by tysiące szeregowych pracowników zootechniki, obojętnych, świniaży, owczarzy, drobiarzy stało się świadomymi pomocnikami i sojusznikami zootechnika - naukowca, w jego pracy nad zwiększeniem ilościowym i poprawą jakościową naszego pogłowia zwierząt w dążeniu do podniesienia jego produktywności. Szkolenie ideologiczne i fachowe pracowników fizycznych na fermach hodowlanych, pozwoli zrobić z nich świadomych swych celów współtwórców postępu w hodowli.

Władysław Herman



TADEUSZ SZEWEA

MICZURINOWCY*)

W IADOMOŚĆ o sadzeniu ziemniaków pod koniec czerwca i do tego na torfie, zezakryzowała całe Bylice. Nawet najtwardzialszy przeciwnik „kołchozowych sztuczek” nie mógł się oprzeć chęci i przybiegł na Koszarowe pole. Ludzie stali grupkami, rozprawiali, zaczęli Romka Stepnickiego, pytali o szczegóły. Inni asystowali Wojtkowi, który wraz z Helą wygrzebywał w żółtoszarej, sypkiej ziemi dołki i wysypywał do nich torf. Wyglądało jakby doniczki na zagonie ustawiał.

Barcik, chłop strzelisty niby topola, zaczępił Wojtkę.

— Jaką odmianę będziecie sadzić?

— A co ci odmiana pomoże? — zahuczał mu nad uchem bas i wyrosła przed nim pękata figurka Kleszcza. Za nim kuszykał Woźnica.

Na nalanej gębie Kleszcza igrał chyttry uśmiešek.

— A co ci odmiana pomoże? — powtórzył. — Słyszane to rzeczy, że by sadzić ziemniaki w końcu czerwca! Moja stara od świętego Jana gotuje już młode! Paluszki liżać, takie ziemniaczki! Ech, ludzie, nawet gadać się nie chce, języka szkoda.

Barcik wzruszył chudymi ramionami.

— Każdy to wie, nie musicie tak krzyczeć. Ale to ciekawe...

— Co ciekawe? Oj, głupi naród w naszych Bylicach. Wymyślił Koszacz bzdurę a wy zaraz — miczurinowie! Taki z niego Miczurin, jak ze mnie ksiądz biskup.

Stacho Moruś zakpił z Kleszcza.

— Z was to mógłby być biskup. Kazania prawie umiecie i w gardle wam nie wysycha!

— Ano, właśnie! — odezwał się Barcik. — Stadnicki z Grządkiwa mówił, że w Rosji są takie tereny, gdzie sadzą ziemniaki podobnie.

Kleszcz podkoczył, szeroko rozczapierzonymi dłońmi klepał się po kolanach opiętych w granatowe bryczesy.

— Byłeś? Widziałeś? No, to nie opowiadaj! Był czego! A jeśli nawet tak jest, to tam mogą sobie na to pozwolić, a ty nie!

Wojtek Koszacz zaprzęstał na chwilę kopania dołków.

— Dlatego myśmy torf przywieźli. Stawiamy w ten sposób ziemniakom podobne warunki klimatyczne i wegetatywne jak na przykład na Ukrainie...

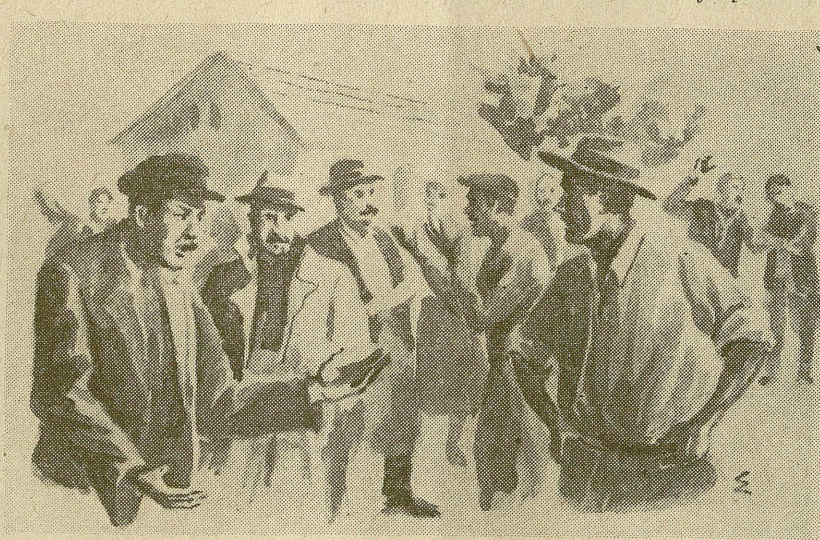
Kleszcz trzymał się obiema rękami za brzuch i pękał od śmiechu. Wtórował mu Woźnica i jeszcze paru.

— Ludzie moi najmiłsi! Słyszeliście? Klimat ziemniakom Koszacz ro-

bi! Torfem im pomaga! Ha, ha! Jak Boga kocham, od dziś poszły przez wszystkie moje zmartwienia. Całą torfową łakę obsadzę kartoflami.

— Ludzie kochani! Czy wy nie widzicie w tym cygaństwa? Bielmo wam wlało na oczy? Patrzcie, co nasze zetempowce robią! — wskazywał pulchną ręką Woźnica, Hele i Stepnickiego. Woźnica wyciągnął kartkę papieru, ołówek i obliczał. Barcik i Moruś patrzyli ze wstrętem na jego robione dionie.

— Prawdziwy gospodarz w Bylicach sadi pod plus, na skibie, utykając kartofel od kartofla co piętnaście lub dwadzieścia centymetrów. Tak? Zgadza się. Na metrze kwadratowym mamy w taki sposób dwadzieścia cztery, albo dwadzieścia pięć krzaków. Koszacz daje



Rys. St. Szmidt

odstęp trzydziestu pięciu centymetrów i na metrze ma tylko dziewięć krzaków. Zgadza się? Zgadza. Czyli... trzy razy mniej krzaków. To znaczy prawie trzy razy mniejszy plon!

Woźnica potrząsał kartką i wykrzykiwał triumfalnie.

— Myślicie, że na tym koniec. My sadzimy prawidłowo, wiosną, a Koszacz przeciw praktyce, bo latem! Teraz głos zabiera znowa Kleszcz.

— Pytam was! Psenica jest jara? Jest. Żyto też bywa jare. Ale ziemniaki jare? Kiedy one zawsze w jednym roku? Taką budję mogą wy myśleć tylko młokosy.

— Niby prawda! — odezwał się któryś z boku.

Heła do tej pory spokojnie przyjmowała sztyrśta ojca. Teraz wybuchnęła.

— Jak się ojciec nie wstydził! Woźnica umilkł, ale w jego piwnych oczach błysnęła złość.

— Ty mi tu nie ubliżaj! Bo jak

STANISŁAW PIOTROWSKI

O ZARZĄDACH ŚWIE TLIC

D ALEKO jeszcze jesteśmy od sumiennej i prawidłowej zaspokojenia stale narastających potrzeb wsi w zakresie rozwoju oświaty i kultury. Na przeszko-

dzie stoją nie trudności bazy działania, bo sieć jest szeroko rozwinięta, i nie wyposażenie tej bazy, jaką są świetlice i biblioteki, chociaż jest tu jeszcze bardzo dużo nawet rażących braków, ale przede wszystkim słabość zarządów świetlic, kierowników świetlic, słabość aktywu kulturalno - oświatowego, w masie swojej niedostatecznie przygotowanego ideowo i fachowo do tych wielkich i odpowiedzialnych zadań, słabość zarządów organizacji społecznych w gromadach, kół ZSCH, TPP-R, ZMP i kół gospodyń, mała umiejętność organizowania życia kulturalno - oświatowego i niedostateczna pomoc ze szczebli nadrzędnych instytucji i organizacji społecznych, a przede wszystkim rad narodowych.

Zbyt wąsko są upowszechniane dobre doświadczenia, wypróbowane formy, budujące przykłady w zakresie metodyki pracy świetlicowych. Inaczej mówiąc, kierownicy świetlic wiejskich za mało wymieniają swoje doświadczenia i za mało udzielają sobie wzajemnej pomocy.

Spotyka się nadal rażące przykłady niechlujności, nierobstwa, a nawet gorszące przykłady penetracji wroga do części świetlic. Bo czym wythumaczyć dewocjonalia wiszące w niektórych świetlicach, jak w Cisawicach, w Dąbrówce? Kierowniczka tej ostatniej szukała nawet dodatkowego oparcia u miejscowego proboszcza, który udzielił jej zezwolenia na zajęcia świetlicowe w czasie postu. Należy jeszcze raz wyraźnie sobie powiedzieć, że każda świetlica u nas w kraju winna być placówką kultury socjalistycznej, a więc nie może w niej być miejsca na podrzucanie wrogiej ideologii, na penetrację obce. Nie mogą poddać zadaniom tacy ludzie, jak kierownik świetlicy gminnej Goszków (woj. Lublin), o którym chłopci mówią, że łączy, a świetlica zawsze zamknięta, ani kierowniczka w Barcianach, o której wyszczył wieść, że nie wylewa wody za okno. Przy takich kierownikach grzane są teatralne smutny, sztuczny bezwartościwość. Czy może pomagać świetlicom gromadzkim kierownik świetlicy gminnej, który nawet nie wie, ile jest tych świetlic na terenie gminy? Rzecz jasna, że taka polityka obciąża nie tylko wspomnianych kierowników, ale zarząd świe-

tlicy, w skład którego wchodzi przedstawiciel wszystkich organizacji masowych, obciąża rady narodowe, obciąża władze szczebli nadrzędnych.

Zatem, uogólniając braki pracy kulturalno - oświatowej na wsi, stwierdzić należy, że w masie swojej świetlice wiejskie niedostatecznie jeszcze oddziałują na środowisko wiejskie, aby krzewić światopogląd marksistowski, aby skutecznie pomagać chłopom matorolnym i średniorolnym w walce klasowej, w walce o podnoszenie produkcji rolnej, o sumienne i terminowe wywiązywanie się z obowiązków wobec państwa, w walce o upowszechnianie postępowej oświaty i kultury, jako oręża walki z ciemnotą, bigoterią, zabobonem, ze wszystkimi reakcyjnymi uświatowaniami wroga, który często za pomocą bezcelnej plotki stara się zakłócić nasze życie polityczne, gospodarcze i kulturalne na wsi.

*

Istnieje obecnie 25 powiatowych domów kultury, prowadzonych przez rady narodowe, i około 50, prowadzonych przez związki zawodowe. Pierwsze powiatowe domy kultury przejęły rady narodowe pod bezpośrednią opieką w roku ubiegłym.

Placówki te mają do wypełnienia dwa zadania.

Pierwsze i zasadnicze — to niesienie pomocy politycznej, organizacyjnej i metodycznej świetlicom gminnym i gromadzkim.

Drugie zadanie — to organizowanie życia kulturalnego dla mieszkańców siedziby władz powiatowych.

Ta pomoc ma wyraz w konferencjach metodycznych z kierownikami świetlic, w wyjazdach zarówno kadry instruktorskiej, jak i zespołów udzielających do pracy wytycznych wskazówek metodycznych w zakresie repertuaru, w zakresie łączenia pracy politycznej z formami artystycznymi itp.

W tym roku nastąpi dalsza rozbudowa sieci PDK. Bedziemy się starać, aby na przestrzeni 5 lat zorganizować w każdym powiecie taką placówkę.

W zakresie świetlic gminnych dążymy, aby w ostatnim roku Planu 6-letniego znajdowały się już w każdej gminie.

Stanisław Piotrowski

*) Fragment z przemówienia na Krajowej Naradzie Kierowników Świe tlic.

EDWARD POCHRON

Stachowicz i Górniak

N A naradzie przodujących czynników „Plonu” i „Małego Poradnika Rolnika”, która odbyła się w ubiegłym miesiącu w Miechowie, spotkaliśmy się ze zjawiskiem dość nieoczekiwanym.

Otóż wśród wielu głosów w dyskusji, nie usłyszeliśmy ani jednego głosu czytelnika ze spółdzielni produkcyjnej! A przecież powiat miechowski nie jest już pod tym względem kopciuszkiem — pracuje tu obecnie 48 spółdzielni i kilkanaście komitetów założycielskich!

Dlatego więc aktyw spółdzielczy nie wykrzyszał tak wielkiej okazji, aby właśnie na takiej naradzie pokazać indywidualnym chłopom-przodownikom wiedzy rolniczej, że tylko gospodarka zespołowa daje pełną możliwość wykorzystania wszystkich osiągnięć tej wiedzy? Coś tutaj nie w porządku.

*

We wsi Siedliska (gm. Wielka-Za-górna) w roku 1952 było 16 prenumeratorów „Małego Poradnika” na 32 numery w gromadzie. Niedawno powstała tutaj spółdzielnia. I co się okazuje? W tej chwili prenumeratorem jest tylko 8, w tym 3 zaledwie członków spółdzielni (na 12).

Czyżby spółdzielcy opacznie pojęli sens przetrwania odpowiedzialności za gospodarowanie z własnej tylko głowy na głowę zarządu i przestali się kształcić? Był już we „Wsi” artykuł*) który wykazywał pełną szkolność tego stanowiska. Jest wszak rzeczą zupełnie jasną, że wielkie i wyspecjalizowane socjalistyczne gospodarstwo rolne nie może rozwijać się prawidłowo bez wykorzystania nowoczesnych osiągnięć wiedzy. Cóż tylko zwrócić uwagę na jedno zjawisko, które w Siedliskach występuje szczególnie wyraźnie — na odpowiedzialność najwyższych spółdzielców za poziom całego zespołu.

Przewodniczący spółdzielni, Tomasz Stachowicz, jest wykształconym i doświadczonym rolnikiem. Nie ogranicza się tylko do czasopism, czyta dużo broszur i książek fachowych, a ich wskazówki stosuje przy urw. wie buraka cukrowego i tytoniu. To bardzo dobrze, ale dlaczego, poza przewodniczącym, czyta prasę fachową tylko 2 jeszcze spółdzielców? Dlaczego nie wpłynie on swym autorytetem (przodujący gospodarz), aby kształcili się inni członkowie spółdzielni?

*

Ziemia miechowska to ziemia bogata i żyzna. Wiele tu czarnoziemów — obficie rodzi się pszenica, burak cukrowy, tytoń, warzywa, cenne uprawy pastewne. Toteż upowszechnienie wiedzy rolniczej pozwala wyciągać wielkie dochody nawet z małych skrawczków ziemi. Taki Paweł Gęsiór z Uliny Małej (gm. Rzeźnia) na 2 tylko ha ziemi założył bogaty sad owocowy, sieje lucernę, uprawia tytoń i buraki cukrowe. Dochody ma, rzecz jasna, bardzo wysokie. Nic też dziwnego, że gospodarstwo Gęsióra przykuwa baczną uwagę sąsiadów, że powstało w Ulinie Małej kółko miczurinowskie, że za przykładem Gęsióra wciąż nowi gospodarze biorą się do czytania prasy i książek rolniczych i przestawiają swe gospodarstwa na wyspecjalizowane i wysoko dochodowe kultury: tytoń, lucernę, buraki, cebulę, pomidory, ogórki.

Jest taki Gęsiór również w Siedliskach: prezes ZSCH — Górniak. Z 11 arów osiągnął w ub. roku 32,5 q buraka zamiast przeciętnych 18 q.

Drugi to obok Stachowicza żarliwy czytelnik literatury rolniczej. Jeden — indywidualny, a drugi — spółdzielca. Dwa autorytety w gromadzie, który z nich wyciągnie więcej? — takie pytanie zaprzęta umysł siedliskich chłopów. Od odpowiedzi na nie zależy będzie, czy przystąpią do nowopowstałej spółdzielni. Problem Stachowicz czy Górniak staje się w istocie problemem — gospodarka spółdzielcza czy indywidualna?

Gęsiórów i Górniaków w miechowskim jest wielu, — wystarczy wskazać na cyfrę 9.675 prenumeratorów „Plonu”. Ich istnienie stawia w każdej gromadzie o wiele trudniejsze zadania przed nowopowstałymi spółdzielcami — muszą one wykazać, że w kolektywie można wyciągnąć z ziemi jeszcze o wiele więcej.

Toczy się więc w miechowskim cięcho, zacęcie współzawodnictwo — kto lepszy gospodarz: indywidualni spece czy zespoły spółdzielce. Od wyników zależy w każdej gromadzie rozwój lub zastój spółdzielni.

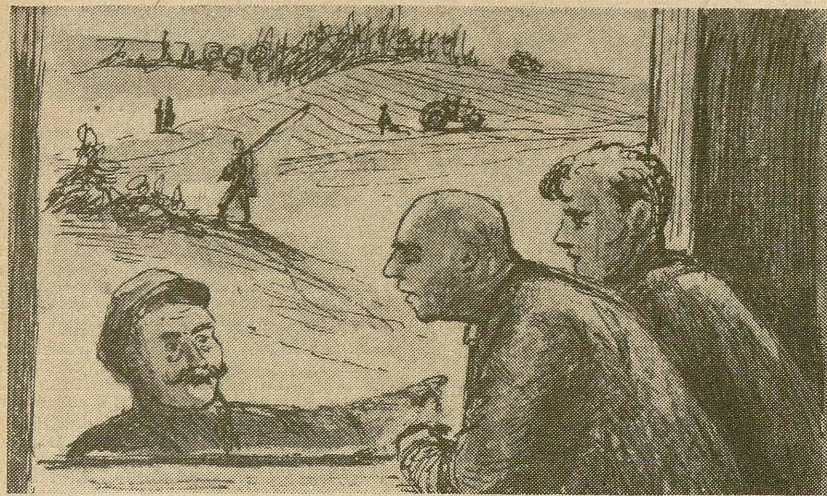
Ze nie jest jeszcze z tym dobrze, świadczy przykład nie tylko Siedlisk ale i jednej z najlepszych spółdzielni w miechowskim, Wysocic, gdzie od roku 1949 przystąpiło zaledwie 2 nowych członków. Ostatnia narada miechowska wskazuje jeszcze wyraźniej na źródła osłabienia ofensywy spółdzielczej, niepodobna bowiem zapewnić jej zdecydowanego zwycięstwa bez nieustannego podnoszenia poziomu kultury rolnej spółdzielców.

Edward Pochron

*) Władysław Misiuna: „Gdy niedoceniamy się wiedzy rolniczej”, Wiew, Nr 24.

Tadeusz Szeawa

*) Fragmenty opowiadania z tomu pt.: „Odkrywcy” przygotowanego dla Państwa. Wydawnictwa „Iskry”.



rys. B. Butenko

TADEUSZ SŁUPECKI

HISTORIA DLA POM-ÓW

W CIAGU zaledwie dwóch godzin po swym przyjeździe, nowo mianowany kierownik wydziału politycznego przy POM w Strulowie zdołał się dowiedzieć, że ośrodek maszynowy ma za mało mechaników i że miejscowej organizacji partyjnej od dwóch miesięcy brakuje czasu na zwolnienie i brania członków. W tym samym czasie dyrektor POM odkrył w nowym kierowniku jedynie porucznika rezerwy, który niedawno wrócił z manewrów wojskowych.

Potem usiedli w biurze dla przejrzenia planu wykorzystania maszyn i traktorów. Ale dyrektor, jak to się często zdarza, choć sam w wojsku nie służył dla jakichś tam braków w zdowiu, był zapalonym miłośnikiem gwędz żołnierskich. Więc w końcu nie wytrzymał i zagadnął niby od niechcenia: — No, a co tam w wojsku nowego?

Kierownik wydziału politycznego uśmiechnął się nieznacznie, ale odpowiedzieć nie zdołał, bo nagle odskoczył drzwi i do pokoju upadł chłop w bufiastych portkach i z potarganą czupryną. Język mu się, wiadło, w czasie drogi gdzieś zaplątał, bo zdołał się odezwać dopiero po dłuższej chwili pracowitego sapania:

— Uff, dyrektorku kochany! Pomóżcie! Żniwiarka nam nawaliła a tu roboty huk!

— No, to idźcie do któregoś z mechaników — odparł dyrektor. — Choćby do Krakusa.

— Krakus zwolnił się do domu. Niby to do kobiety, bo jej już od niedzieli nie widział, a tu dziś wtorek i mu się, cholera, cnić będą babę zaczyna. Taki się, psia para, przez jeden poniedziałek kochający zrobił!

— A Mietusik?

— Tego znów młynarz z Kaczego Stawu na ryby zaprosił, więc wędkę sobie od rana szkuje, bo rybki, powiada, już od maleńkości lubi...

Dyrektor zrywał się odrobinię zaklął pod nosem: — Co, do stu diabłów! Czy w POM oprócz mnie nikogo więcej nie ma?

— A nie, Pazera chory, więc gra se w karty z Wojtkiem Dygala. A ten tylko zęby szczyrzy, śliną strzyka i dogaduje: „Niech robi ten, kto pieniężnow kupę zgarnia. A ja, powiada, bzik za niast premi do stałej, więc po wsi ganiać nie myślę”.

Tu dyrektor, choć z natury flegmatyczny, dłużej nie wytrzymał:

— Nie dostał, galgan, bo zamiast roboty pilnować za dziewczuchami tylko biega!

— Święta prawda. Jurny jak byczek — przytwardził chłop. — Ale żniwiarka sama nie ruszy...

— A stać nie może, bo spółdzielcy czekają. No, cóż — westchnął z rezygnacją dyrektor i spojrzał w kierunku kierownika. — Posiedźcie sobie tu i plany tymczasem przejrzyjcie, a ja skoczę do tej maszyny...

Wrócił po dwóch godzinach, zmordowany i utypany smarem. Nie zdążył jednak obmyć rąk, gdy z pola przybiegli pomocnicy traktorzysty z wiadomością, że traktor stanął i ani rusz dalej orać nie chce. Traktorzysta poszedł po jakiegoś mechanika, a sam leży na mie-dzy i zajmuje się przeklinaniem motoru. Nie można zaprzeczyć, że kłak i dyrektor. Ale ten czynił to, maszerując pośpiesznie na pole.

Kiedy za trzecim razem zreperował dwie uszkodzone w sąsiedniej wsi snopowiznialki — rozpoczął się już ciepły, lipcowy wieczór. Gdzieś daleko pykał leniwie traktor, na pagórku czerniała się przy-

tulna brzezinka, a do tej brzezinki krokiem zawodowego uwodźciciela zmierział Wojtek Dygala. Dyrektor odwrócił się w przeciwną stronę — po to jedynie, aby zobaczyć Pazere, który pod wieczór jakoś wyzdrowiał i resztki choroby wytrzymał z pomocą z piłką. Ale na tym nie skończyły się dyrektorskie utrapienia: za chwilę wyminął go pelen werwy Mietusik, dźwigający pod pachą długą wędkę i tak zajęty obmyśleniem rybołówczej strategii, że nawet nie dostrzegł wlokącego się szerokim drogi dyrektora...

Kierownik oczekiwał go w biurze.

— No i co — rzucił na powitanie — dalsie radę tym snopowiznialkom?

— A dałem! — odparł z pewną dumą dyrektor. — Mechanik ze mnie był zawsze tegi!

— Ale dyrektor to chyba nie bardzo?... — zauważył jakby mimochodem kierownik.

— Widzicie, u nas już taka robota... — tłumaczył się tamten zbolalym głosem. — Ludzi w POM mało, a na gorsze, że wszyscy na mojej głowie. Czego sam nie zrobisz...

— A kto wam każe samemu robić to wszystko? Od czego są mechanicy?

— I oni też robią, robią... — zapewniał zastryżony jednak dyrektor. I aby się całkiem uwolnić od kłopotliwych pytań, zagadnął niby od niechcenia o... wojsko.

Kierownik podciągnął nogi, uśmiechnął się leciutecznie, ale opowiadać zaczął. Tamten słucha i słucha, ale w końcu wytrzymał nie może:

— Coś mi się widzi, że ze mnie pokpiwacie...

A kierownik nic, ciągnie dalej:

— Widzicie, to taka nowoczesna metoda wojowania. Oficer leży na wzgórkach i obserwuje teren. Żołnierze leżą w okopach, karabiny i armatki wystawia przed siebie, jeden gra na harmonii aż miło, inni rzną w karty. Nagle, powiedzmy, bo to były manewry, jest atak czołgów. Trzeba otworzyć ogień zaporowy. Więc ja puszczam się pędem do najbliższej armatki i strzelam! Potem do drugiej i znowu strzelam. O pięćdziesiąt metrów stoi trzecia...

— I co? Pędzisz i znowu strzelasz? — zgryźliwie przerwał mu dyrektor, „tykając” w pośpiechu kierownika. — I za to strzelanie porucznikiem zostałeś? A czemuś to nie kazał strzelać swoim żołnierzom?

— Bo grali w karty, jak twoi mechanicy i nie śmiałem im przerywać... — odparł pogodnie kierownik.

Tego wieczoru dyrektora, jak sam opowiadał później, o mało co nie trafił szlag. Ale następnego dnia, ku wielkiej uciechy spółdzielców a niemałemu strapieniu kowalowej córki, Wojtek Dygala wyjechał z POM, inni zaś mechanicy w zaskakująco krótkim czasie przypomniał sobie o istnieniu socjalistycznej dyscypliny pracy. A co czynił kierownik wydziału politycznego?

Kiedy po dwóch dniach znowu rozmawiał z dyrektorem, ten, szukając czegoś pilnie w papierach na biurku, burknął niby od niechcenia:

— Aleście to wtedy zelgali z tymi żołnierzami, co na manewrach w karty podobno grali...

— Tak... — uśmiechnął się kierownik, wypisując na maszynie zaawizowanie o jutrzejszym zebraniu organizacji partyjnej. — To była rzeczywisty tylko taka historyjka dla dyrektora, którzy nie umieją sobie zorganizować pracy...

Tadeusz Słupecki

KAZIMIERZ ZYGMUNT

O złych radiowęzłach

W czasie ostatniej wędrowki po ziemi kieleckiej zapoznałem się z działalnością radiowęzłowych i powiatowych.

Chciałem podzielić się uwagami, jakie mi się narzuciły. Być może uwagi te przypomną rozgłoszonym regionalnym jak i ekspozytorem Polskiego Radia o ich obowiązkach w stosunku do radiowęzłowych terenowych.

Ze kontrola i opieka nie były do tej pory należyte, wystarczyło poznać się z programami nadawanymi przez radiowęzły w Suchedniowie.

Przyjrzyjmy się bliżej tym programom. Już pobieżny rzut oka pozwala zorientować się, że będzie mieli do czynienia z twórczością „poetycką”. W rzeczy samej większość audycji była wierszowana. Na przykład Gminna Spółdzielnia nadesłała komunikat, że są do nabycia wiadra. Kierownik radiowęzła uważał, że komunikat ten należy podać w lekkostrawnej formie i wierszował go. Z biegiem czasu doszedł on już do takiej wpraw-y, że cyklicznie zaczęto nadawać tam rodzaj „komiks” radiowego. Oczywiście monopol na tę „arcyzabawną” audycję miał sam przewodniczący GRN i równocześnie kierownik radiowęzła. Czasem tylko do udziału dopuszczał swoją protegowaną, kobietę o wy-sokich aspiracjach naukowych. Do ściślejszej współpracy wciągnął ją dopiero wtedy, gdy trzeba było opracować serie audycji, które miały doprowadzić miejscowego kierownika szkoły do porzucenia pracy i spowodować ułożenie na tym stanowisku właśnie owej protegowanej przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej w Suchedniowie.

Aby zorientować bliżej czytelnika w „radosnej twórczości” tych dwój-ga wystarczy przytoczyć niektóre tytuły wyjęte z „komiks” radiowego paia przewodniczącego. Oto one: „Historia pewnej wdówki, która miała pod oczyma podkówek”, „O amancie i jego flanie”.

„Zaraz, zaraz, gdzie to już słysze-liśmy takie tytuły? Czy przypadkiem nie w pornograficznych pi-smach przedwojennych, których spora kupka leży na strychu u pana przewodniczącego? Z nich to czerpał on natchnienie przy opracowywaniu swych audycji. Ale idźmy dalej. Otoż po pewnym czasie rozochoczonemu „kolektywowi redakcyjnemu” w osobie przewodniczącego Gminnej Rady Narodowej i jego przyjaciółki, nie wystarczy już „komiks” radiowy. Wprowadzono więc „fraszki dnia”. Dopiero teraz uży-wał sobie pan przewodniczący — a fraszki posypały się jak z rogu obfitości. Między innymi na spółdziel-nię produkcyjną w Kruklu (gmina Suchedniów). Wyśmiano pewną ko-bietę, która zwróciła uwagę komite-towi redakcyjnemu na to, że nie należy wyłączać ważnych audycji ogólnopolskich — konkretnie cho-dziło jej tutaj o nadawany przez Polskie Radio reportaż z procesu księdza Lelito. Audycja ta została przerwana i radiowęzł nadawł wia-

sną audycję, jedną z tych, jakie przytoczyliśmy. Poza tym napisano fraszkę na sytuację międzynarodową, w której użyto takiego sformu-łowania: „człowiek pracy spokojnie pracuje, do ataku się przygotowuje”. Ale gdy już przez głosniki Ra-diowęzła nadano audycję w ten oto sposób zachwalającą spółdzielnię produkcyjną: „Chcesz jeść śledzia i rybke, zapisz się do spółdzielni produkcyjnej”, ciepliwci dotychczas słuchacze zaprotestowali przeciwko takim audycjom. Wyszło to bowiem na jaw, że takie uatrakcyjnianie programu to już nie głupota, lecz świadomie wroga działalność.

Trzeba tu jeszcze nadmienić, że winę za taki stan rzeczy w dużej mierze ponosi Ekspozytura Polskie-go Radia w Kielcach, która nie oto-czyła należytą opieką i nie kontro-lowowała działalności komitetu redak-cyjnego radiowęzła.

Przewodniczący Gminnej Rady Narodowej został usunięty z Radio-wezła w Suchedniowie, gdyż cała afera wydała się. Ale czy to nie zbyt późno?

W tej chwili w Suchedniowie po-wołany został nowy komitet redak-cyjny, który w większości składa się z nauczycieli oraz robotników miejscowych zakładów pracy. Okazało się, że nie trudno było znaleźć w środowisku takim, jak Suchedniów, uczciwych i ofiarnych ludzi do pracy w Komitecie redakcyjnym.

Przed nowym komitetem stanęły po-ważne zadania. Naprawienia szkody jaką wyrządził słuchaczom gminy Suchedniów przez swą wrogą dzia-łalność były kierownik komitetu re-dakcyjnego radiowęzła.

*

Zdarzają się wypadki, że w radio-wezłach terenowych nieodpowiednio dobrane komitety redakcyjne upra-wiają niebezpieczne awanturnictwo programowe. Przykładem wypacze-nia linii politycznej radiowęzła w Końskich był następujący fakt: do

JAN RAK

Ziemio święta, ziemio stara,
I zaganka mnieś nie dala.

Obiecane nam po śmierci.
Na miesiąc. Gdy na cwieter
Rozmierzą pięknie, ładnie,
Mnie bez mała móg przypadnie!

Niechby z kraju, w środku, z końca,
Nie pod upaćz¹⁾, lecz do słońca.
Ale skądże wzięć nasienia?
Gdyż odległa będzie ziemia.

Choćby orłów to prosić,
Żeby chcieli tam przynosić
W dżobach swoich nieco ziarna!
Śiać i sadzić rzecz nie marna.

Czek nie może, już utyka.
Do kamienia trza perlika.²⁾
Zdrowe, świeże ma powietrze,
Ślucze, skruszy, na proch zerzre.

Gazetka gminna

Skąd taka kariera?

Oto kariera pewnego człowieka zamieszkałego w gminie Warta Bolesławiecka, woj. Wrocław.

Na przesłuchaniu lat 1945 — 1949 czynił wszystko, aby uwolnić się od przykrej przeszłości. Nie był jednak interesownym gospodarzem. Dziełować Bogu, udało się, puścił ziemię w pacht za dobrą cenę obywatelom Leonii Skóra i Michałowi Mucotłowi.

Od roku 1949 rozpoczął nowy, wyżej zorganizowany etap życia, realizując hasło: minimum wysiłku — maksimum korzyści. Pędził bimber. Mile to zajęcie przerwane zostało wizytą MO. Żadna to przyjemność, płacić 270.000 zł (stara waluta), ale trudno — trzeba było.

Przerzucił się z kolei na handel spirytusem. Rozpłjał głównie młodzież, zawsze jednak dyskretnie, zawsze potajemnie. Nie był jednak interesowny jego wielkich zdolności.

Dłatego w następnych latach 1950 — 1952 przesunął się na następny, jeszcze wyższy etap działalności, realizując hasło: minimum wysiłku — maksimum korzyści. Nie był jednak interesowny jego wielkich zdolności.

Nie potrzebujemy chyba dodawać, że tekłini przyziemnymi sprawami, jak np. płacenie podatków, o nim nie blyszczą. Poborek i sołtysa wyrzuciła najwy-czejniej pod słońcem za drzwi. Mleczar-nia także nie widzieli ani jednego litra mleka od jego krów. Mimo tego jest se-kretarzem lota gromadzkiego ZSCh i popędza dzielnie chłopów do odstawia-nia mleka.

Nie brak w gromadzie ludzi, którzy uważają, że Antoni Koncki, on to bo-wiem, jest opisywanym bohaterem. W-ciepku się urodził, święty Padewski specjalnie się nim zajmuje, słowem wyższe siły dbają o jego calosć.

Az wstyd doprawdy napisać, że sprawy mają się zupełnie inaczej. Żadne gładzki pomyślności o niu nie blyszczą. Żadne niezwykle siły nim nie opiekują, lecz tylko on, Gregorek, prze-wodniczący GRN. Siła to oczywiście nie mała, skoro potrafiła zapuścić kurtynę na tyle komunisty Konckiego. Ale i tak wielka aby sobie nie można by-to z nią poradzic. Niechże się PRN nie boi.

Berzyjowy Mleczarz

komitetu redakcyjnego zgłosił się miejscowy lekarz weterynarii z prośbą o wygłoszenie komunikatu o szczepieniu psów przeciwko wście-kliznie.

Członkowie komitetu redakcyj-ne-go po zapoznaniu się z komunika-tem orzekł zgodnie, że komunikat jest zbyt suchy i należy go ubarwić. Komunikat został oddany do prze-róbki. Ponownie wrócił do radiowęzła, ale już w formie pogadanki, której autor wyczerpująco omówił historię wścieklizny od czasów gdy wściekły się pierwszy pies. Ale i ta pogadanka nie zadowoliła wymaga-jącego komitetu redakcyjnego. „Redaktorzy” z radiowęzła dopa-trzyli się z kolei, że pogadanka jest zbyt mało upolityczniona. Ostatecz-nie pogadanka przekształcona zosta-ła na referat polityczny o sytuacji międzynarodowej z domieszką in-formacji o wściekliznie.

Sądzę, że przytoczone tu przy-kłady wystarczą, aby odpowiedział-ne za pracę radiowęzłowych rozgłosze-nia regionalnego Polskiego Radia i eks-pozytury a także komitety powia-towe PZPR wzmogły swoją kontro-lę i opiekę nad radiowęzłami tere-nowymi. Nie potrzeba chyba udo-wadniać, że sprawa opieki i kontro-li nad radiowęzłami jest alarmują-ca.

Chciałbym się jeszcze zastanowić nad tym, jakie są drogi wyjścia z tej bzdury co bądź wciąż jeszcze trudnej sytuacji naszych radiowęzłowych. Uważam, że jedną z form podnosze-nia poziomu pracy radiowęzłowych jest częsta wymiana doświadczonych p-szczególnych członków komitetów redakcyjnych. Mam przecież wiele komitetów redakcyjnych, które mogą poszczycić się doskonałymi wynikami w pracy. W komitetach tych działają ofiarni społecznicy, lu-dzie, którzy pokochali swą pracę, wyrosli w radiowęzłach i mogą stać się w przyszłości źródłem nowych kadr dla rozgłosu Polskiego Radia. O nich to będzie w następnym fe-letonie.

Kazimierz Zygmunt

DUMANIE

Byle do tej przywyce¹⁾ pracy.
Czyż nie lepiej, mój Ignacy,
Jak na ziemi ludność zwarta,
Ciągły kłopot — czyż to warta?

Te Brazylię, Sybiry?²⁾
A do tego, kto dziś szczyry?
Koniecznie na tym, towarzysze,
Z księżycem wam więcej pisze.

1) Z kraju — z brzegu.

2) Pod upaćz — spadek gór ku półno-cy, przydatny tylko na las albo na pa-swiszko.

3) Perlik — młot do tłuczenia ka-mieni.

4) Przywyce — gwarowe, przywykną-łe.

5) Sybiry — Syberia.

Jan Rak, najstarszy poeta ludowy, u-rodził się w 1820 r. w Fusowie, pow. Łan-cut, umarł w 1909 r.

— A jaka jest różnica pomiędzy go-spodarką spółdzielczą a indywidualną? Nic, milczenie, coś się zaczęło.
— No to sobie to zagadnienie ugrun-tujmy.
I rzeczywiście zabrała się do ugrun-towania. Widzieliśmy na własne oczy „Zagadnienia leninizmu”, plansze, wy-kresy. Przebiegu ugruntowania nie za-obserwowaliśmy z dwóch powodów. Po pierwsze z obawy, by nam przy-padkiem głowy ze zdumienia nie po-puchły, po drugie zaś natychmiast prze-śliśmy do napisania wniosków o przyzna-nie bojowej przedskłonce orderu za pracę na polu upolityczniania przed-szkolaków. Jesteśmy pewni, że pod jej kierunkiem już niedługo nawet nie-mowlota czytać będą „Wiesi”, albo od-znaczającą się niezwykle wysokim po-ziosem „Nową Kulturę” czy „Głos Na-uczycielski”. Nie zapomnieliśmy oczy-wiście i o powiatowych władzach oświa-towych. Niechże i na nie spłynię deszcz orderów za zachwyty nad przedskłon-ką. Zawsze to dodawało jej animuszu.

Piotr Pigwa

Bogobojna Gienia

Nie koniecznie czyni w życiu praktycznym człowiek to, co na prawa-lewo rozpowiada, nie zawsze tak jest w sklepie, jak zapowiada szyl. To mądre zdanie wykombinuje bez trudu każdy, kto pozna bliżej GS w gromadzie Gnoj-niki, gm. Uszew, pow. Brzesk i skle-pową Genowitę Gabryś.

Skoło głowy do sklepu wsadziły — jakbyś do kościoła wszedł, tyle obraz-ków świętych na ścianie, a sama Gab-ryś — jakby żywcem z nieba wyjeła. Towaru nie sprzedaje, jeśli jej od wej-scia „niech będzie pochwalony” nie powie-sze.

A portrety nasychnych dostojników pań-skowych ani na lekarstwo.

Początkowo ludzie rzeczywiście byli przekonani, że mają do czynienia z bo-gobojną Gienią, i jakże mogli myśleć inaczej, kiedy im każdy kawałek mydła, kielbasę, każde kilo maki w imię Bo-że do koszyków kładła. Inna rzecz, że z reguły do każdego kilo 10 deka brakowa-ło. Ale nie dziw to, świadczyłoby słabo się na sprawach ziemskich wyznają.

Miejscowe dewotki adorowały ją nie-omal ze publicznie, kiedy wzięła pod opiekę Henryka Bobra, człowieka mło-dego, lecz zepsutego i kilku innych sta-

rych — także zepsutych. Nic, tylko że-by ich na drogę cnoty naprowadzić.

I patrzeć, co się okazało! Posiedze-nia, które Gienia urządziła z podupa-dzonymi moralnie mezczyznami, to były zwykłe popijawy, na których przedla-no owe... 10 deka, brakujące do każde-go kilo. Bobro okazał się spekulantem, który uprawiał spokojnie nielegalny ubój pod czułym okiem sklepowej, a reszta popijawców to ci, którzy od-powiednio dzień po powzięciu w sklepie umieli i suto przez nią zaopatrzeni od-wiedzali się popierając nielegalną produkcję jej pupila — Bobra. O mo-ralności i nieziemskich sprawach na tych posiedzeniach się nie mówiło, lecz głównie o tym, jakby tu nie dopuścić do powstania spółdzielni produkcyjnej. Bardzo to przyziemna sprawa.

Tak więc sami widzieli, że nie brak u nas jeszcze ludzi-aniołów w gbie, diabłów w codziennym życiu. Nie ma in-nej rady, trzeba ich i z obłoków na zie-mię ściągać, śmagać orzechem krytyki. Jak diabłów świeconą wodą. Az staną się ludźmi.

Jerzy Smutni

DUSZA CZARA-STEC

LUDOWA FOETKA

Ioanę Dancus, starą chłopkę ru-munską, nazywają w jej rodzinnej wsi „Horitoarea” — pieśniarką. Pie-sni jej wędrują od domu do domu, z ulicy na ulicę, od wsi do wsi, aż na biurko poety, który nachyla się nad nimi, aby zapoznać z nimi ro-botników i inteligentów.

„Kocham dzisiaj życie moje.
Chcę polecieć jak ten ptak,
Zebym ziemię całą objąć...
Az do krainy chwały polecieć
Złoty dzięk stałowi
Za to piękne nasze życie”.

Pieśni Dancus bardzo się różnią od pieśni ludowych dawnych czasów, kiedy kułacy i obszarnicy byli u władzy. Wtedy Ioana tak śpiewała:

Królu, niech cię karzą tzy
naszych matek, naszych dziewcząt.
Kłanę na cię pola rzucą,
nieorane, puste pola.
Tyś na wojnę wysłał chłopów,
ich do śmierci tyś prowadził...

Pieśń tę, która przeklina uciska-jących lud śpiewały kobiety i dziew-częta w upalne dni na polach pod-czas znojnęj pracy.

Gdy wreszcie po ciężkich przeży-ciach narodu rumuńskiego w sier-pniu 1944 r. Armia Czerwona zbli-żała się szybkim krokiem do wsi Ioany, wyszła ona wraz z całą gro-madą powitać wyzwolicieli chlebem i solą.

Wielkie było jej zdziwienie gdy wśród żołnierzy radzieckich zoba-czyła kobiety-żołnierzy. A gdy się dowiedziała, że bohaterka radziecka uratowała most łączący jej wieś z wsią sąsiednią przed zniszczeniem przez faszystów, napisała następu-jący wiersz:

Oj, różyczko, dumny kwiat!
Był to dzień, sierpniowy dzień,
Gdy zjawia się jutrzienka —
Armia Czerwona śmiała
by nas bronić przed Hitlerem.
Uciekali jak szaleni
Pałac mosty, niszcząc drogi.
Tylko most przed moją wioską
Ocalał bohaterka
Dzielną córa ziem radzieckich.

Po wyzwoleniu Rumunii przez Armię Czerwoną zaczęło się nowe życie we wsi Ioany, powstały nowe pieśni pełne nadziei i wiary w le-pszą przyszłość. Ioana wspomina przeszłość i porównuje ją z obec-nym życiem.

„Swiecie, odkąd cię poznałam
szczęścia mało ja widziałam.
Ach, od kiedy cię urządam
dzienne zadanie nie był dobry.
Ale dmi, którymi żyję
wypłnione są radością,
światłem śmieję się i szczęściem.”

Lata idą i w kraju zachodzą pod kierownictwem Partii wielkie prze-miany. W niedziele i święta Ioana Dancus idzie do świetlicy śpiewać swoje nowe pieśni mówiące o walce o pokój:

„Bracia śpieszcie się do pracy
Zebym pokój z niej wykultuwał.
Śliczcie dzieci do ogródka,
a te starsze niech do szkoły
pinie idą do nauki...”

Kułacy doprowadzeni do wście-klności zapowiedzieli, że jeżeli Ioana nie zaprzestanie pisać o nich szyder-czych wierszy, to jej usta zamkną kamieniami. Lecz ona dalej śpiewa-ła. Nowe życie rozkwita z każdym dniem i towarzyszą mu nowe pieśni Ioany Dancus.

W roku 1948 80 rodzin chłopskich pod kierownictwem Partii złożyło spółdzielnię produkcyjną. Do nich należy Ioana Dancus ze swymi dziećmi. Najstarszy jej syn, Gavril, jest brigadystą i wielka była jej radość, gdy się dowiedziała, że zo-stał wyznaczony na studia agrono-miczne w Związku Radzieckim. Na sztycherzy śmiech kułaków pi-sze ona następującą odpowiedź:

Oj, listeczku ty zielony,
hen, daleko jedzie syn mój.
Kraj Radziecki go tam woła.
Wiedzą nową tam nabejdzie
i powróci tu do pracy.
A z zadróżki pęką będą
Ciemi, wroży nam kułacy.

W rumuńskich wsiach wre praca jak nigdy przedtem. Chłopi radośnie pracują w swym własnym gospodarstwie spółdzielczym, widząc z każdym dniem wzrastające plony ich pracy. Wiedzą oni, że pracując dla siebie i nikt im tego nie odbierze.

Z gryzącą ironią potrafi Ioana Dancus wyśmiewać bumelantów:

Jak bohater jest mój mąż!
Tylko z pracą zulecia wciąż —
rankiem jest mu trawa mokra,
we dnie za gorące słońce —
jak pracować w tej żar?

A wieczorem dresz go trzęsie,
szybko utnił pod pierzyny
zbytku chrapać aż do rana!

W dniu podziału zboża wśród członków spółdzielni nie brak pieśni Ioany. Jak jaskółka uczesana wiosną, tak czeka ona na każde zdarzenie by śpiewać:

Nie daremna była praca,
Patrzcie, złotem ziarno śni.
Poszły tu nas czasy i dni.
Nie będziemy już głodować
Jak za dawnych ciestkich lat,
gdy bojarzy panowali
i nad nami świsiał bat.

Dusza Czara-Stec

Redaktor naczelny: JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81 Adres re-dakcji: Warszawa, ul. Starowińskich nr 7.
Tel: Red Nacz 863-86 Tel: Redakcji 87061, wewn. nr 5, 7, 8.
W a r u n k i p r e m i u m e t a t y:
mies. — 4,60 zł, kwartał — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze

RSW PRASA Warszawa Marszałkowska 3/5 4-B-18016